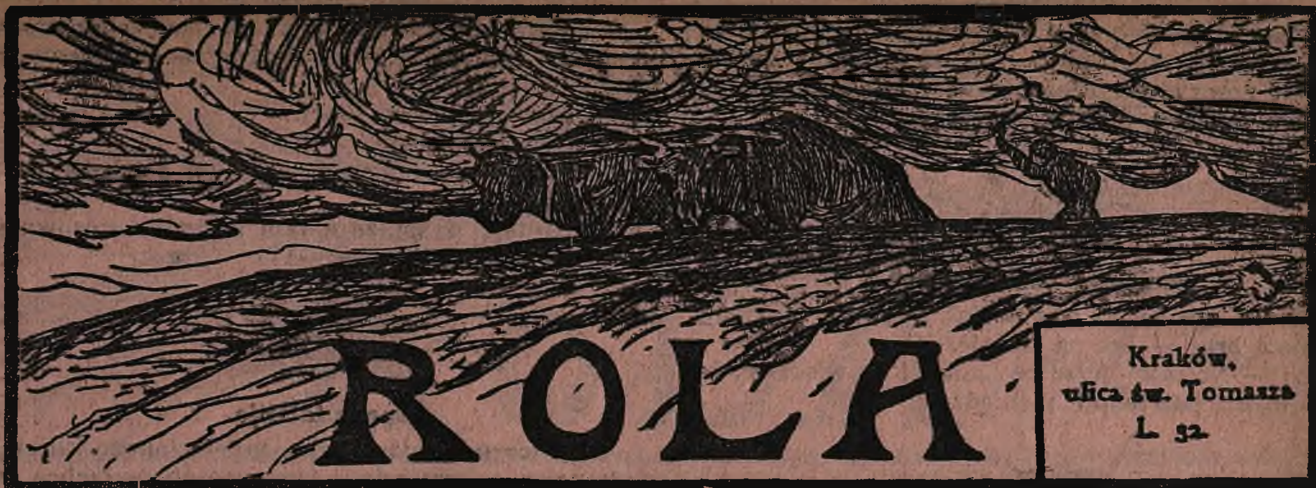
Numer 37. Należ. poczt. opł. gotówką. Dnia 11 Września 1932



ILUSTROWANY BEZPARTYJNY TYGODNIK KU POUCZENIU I ROZRYWCE.

Praktyczny.

— Kochany zięciu! Coś mi kupił na imieniny?

— Moja matka mówiła, że na imieniny należy kupować rzecz praktyczną, a więc mojej „kochanej teściowej kupiłem plac na cmentarzu!“



Pomiędzy zakochanymi.

Ona: — Ojciec mi powiedział, że męża to trzeba szturmem brać — jak na wojnie.

On: — No, ale ojciec powinien i to wiedzieć, że każda wojna potrzebuje pieniędzy.



Usprawiedliwienie.

Dama: — Rzeczywiście, to bardzo smutno, że taki silny mężczyzna, jak wy, nie może nigdzie znaleźć pracy.

Żebrak: — Co robić, wielmożna pani, wszędzie wymagają odemnie zaświadczenia od mojego ostatniego pracodawcy, który niestety już przed 20 laty umarł.

Sumienny.

Czy mleczarz pani jest sumienny?

— O, jeszcze jak! Czyści nawet wodę, którą wlewa do mleka!

Karta myśliwska.

Pewien zażarty motocyklista przejechał krowę, sześć kur, trzy gęsi i owcę. Wówczas zatrzymuje go policjant i pyta:

— Ma pan prawo jazdy?

— Owszem, proszę.

— Cóż to ma znaczyć? Pan mi pokazuje kartę myśliwską.

— No tak. Myślę, że w tym wypadku stosowniejsza jest karta myśliwska.



Zacna familja.

Obrońca odwiedza swego młodocianego klijenta, siedzącego w areszcie, i przy sposobności chce mu przemówić do sumienia:

— Coby twój biedny ojciec powiedział, gdyby mu doniesiono, że popełniłeś kradzież?

— Może się go pan zapytać, panie mecenasie, siedzi w sąsiedniej celi.

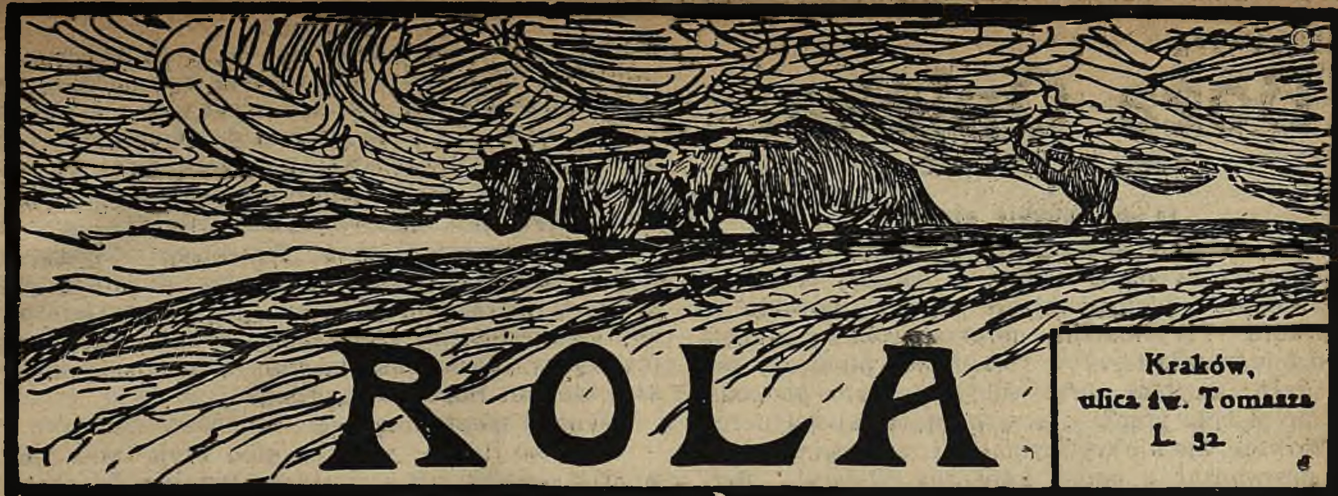


W szkole wojskowej.

Naturalnie, że między człowiekiem a małpą istnieje pośrednie ogniwo. Między wojskowym (t. j. człowiekiem) a cywilem (t. j. małpą) istnieje oficer rezerwowy.

Za zmianę adresu należy się 40 groszy.

Numer 37. Rok XV. Kraków, dnia 11 września 1932.



ILUSTROWANY BEZPARTYJNY TYGODNIK KU POUCZENIU I ROZRYWCE.

Prenumerata na rok 1932: Rocznie 12 zł, półrocznie 6·50 zł, kwartalnie 3·40 zł; do Czechosłowacji rocznie 50 koron cz., półrocznie 27 kor. cz., kwartalnie 15 kor. cz.; do Francji rocznie 60 franków fr., półrocznie 30 fr., kwartalnie 15 fr. — Do Ameryki rocznie 2 i pół dolara. — Numer pojedynczy we wszystkich agencjach i w Administracji »Roli« 30 groszy.
Adres na listy do Redakcji i Administracji »Roli« Kraków, ulica św. Tomasza 32.
Konto pocztowe w Polsce: Kraków P. K. O. 406.301 Konto pocztowe w Czechosłowacji: Praga Poczt. Urząd Czekowy 500.868.

Matka Boska siewna.

Legenda.

Dawno to już dawno temu się działo, bo wtenczas, gdy Pan Jezus po świecie chodził i cuda czynił, a liczne rzesze słuchały Jego nauk i ze czcią całowały rąbek szaty Jego. Żył podówczas lud odważny, pobożny i wojowniczy. Siedzibą jego były góry i olbrzymie bory, pełne dzikiego zwierza i różnorakich gadów, czyhających na dobytek i zdrowie cichego ludu.

Razu pewnego wybrał się Pan Jezus z Najświętszą Panienką i świętym Piotrem w góry do jednego gazdy, co to miał chorą żonę i znikąd ratunku dla niej nie miał. Pewnego razu posłyszał ów gazda, że Pan Jezus po świecie chodzi i cuda czyni, więc poszedł prosić, aby mu Pan Jezus żonę uzdrowił. Pan wysłuchał żalów i próśb owego człowieka, a że to był ładny i piękny czas, to wziął ze sobą Swoją Najświętszą Mateczkę, aby się dziwowała i oglądała górali. Gdy wyszli już wysoko w góry, nagle owionął Ich zimny prąd powietrza i zerwał się wicher, niosąc tumany śniegu z deszczem i nielitościwie kłuł Ich święte głowy i śliczne lica ostremi szpilkami lodu. Panienka Najświętsza pod płaszcz się swego Synaczka schowała, a święty Piotr baranicę na uszy sobie wciągnął i chuchał w ręce.

I tak idąc, wyszli jeszcze wyżej i poczęli spoglądać po wysokich górach i gdzieniegdzie zieleniejących halach, gdzie ino skąpa trawka rosła, na której się pasły zbiedzone stada owiec i juhasi w podartych sukmanach na gęślach grali, smutnie i żałośnie zawodząc o swej niedoli.

Pan Jezus widząc wielki smutek, jaki się rozlał na alabastrowem czole Jego drogiej Mateczki i ból, z jakim spoglądała na zbiedzonych górali, ścinających olbrzymie limby i smreki, na ostre siekiery, które błyszczały w drżących od zimna rękach i na obdarte dziatki, jak się z zimna tuliły do siebie, grzejąc się swemi młodemi ciałkami. I zrozumiał Chrystus, co się dzieje w czystem serduszku Jego Mateczki, więc począł pocieszać, że wszystko naprawi. To mówiąc, podniósł Chrystus Swą świętą rękę, a ucichły wichry, a gdy uniósł oczy w górę, zajaśniało śliczne słońce, rzucając kaskady złotych promieni, dając życie roślinom. Bo kędy stanęła stopa Jezusa, wyrastały na tem miejscu źdźbła pszenicy i owsa, wiotkie piórka zginały ku ziemi i kłaniały się za odchodzącym Jezusem i Najświętszą Marją Panną. Poczem całem jestestwem piękna wystrzelały ku górze, wyciągając się w smukłe łodygi, z których wystrzelały ku słońcu piękne kłosy pszenicy i złocistego owsa, pełne smacznego ziarna. A na śladach stóp Najświętszej Panienki wyrastały ze ziemi cudne kwiaty i rozchylały swe kielichy, z których piękna woń się rozchodziła, nasycając dookoła powietrze cudnym zapachem Boskiego nektaru.

Gdy Pan Jezus uzdrowił żonę owego górala, on pełen niewysłowionego szczęścia i radości schylił się miłośnie do nóg Pana i Matki Jego i ze czcią wielką ucałował rąbek Ich szaty. Pan Jezus powiedział mu:

— Powstań! i niech ci będzie błogosławiona rola twoja. Odtąd za dobre twe serce ziemia rodzić ci będzie ziarno, z którego piec będziesz chleb powszedni, a ptaki śpiewać ci będą i drzewa kłaniać przy ciężkiej pracy, a ty z nimi chwalić będziesz Pana nad Pany.

I złożył mu Jezus ręce na głowie, błogosławiąc.

Gdy szli z powrotem, nieprzeliczone chmury ptactwa wzbiły się nad Ich głowami, a słońce rzucało miljardy złotych promieni, od których miłe ciepło rozchodziło się po górach. Najświętsza Panienka zbierała i łuszczyła kłosy, poczem pełnemi garściami rzucała po pustych ugorach, a Pan Jezus wzniósł oczy do nieba, modląc się, błogosławił rękami zieleniejące hale i stoki górskie.

Od tego czasu zapanował w górach dobrobyt i szczęście. Ale ludzie rozleniwieli, bo pewni błogosławieństwa Bożego, zaczęli zaniedbywać rolę. Najedzeni do syta, nie dbali na różne chwasty i osty, które tam zazdrosny szatan posiał, a któremi zaczęły zarastać urodzajane pola. Powoli zaczęła zanikać pszenica, wzamian zostawiając kolące osty i ciernia-ki. Pszenica jeno gdzieniegdzie się utrzymała i to nikła i zdegenerowana. A na pamiątkę minionego dobrobytu ino liche owsy się ostały, które dotychczas jeszcze rodzą.

Józef Kunda.

BOLESŁAWITA.

Boża Opieka.

Powieść z XVIII wieku.

(Ciąg dalszy).

16. Szatańskie plany.

Janek całą noc oka zmrużyć się mógł, modlił się, myślał, układał plany... Koniec końcem tyle miał teraz kłopotu z pieniądzmi, ile wprzód z powodu, że ich brakło. Przychodziła nareszcie obawa rabusia i złodzieja, rzezimieszków i oszustów, pieniędzy tak znacznych trzymać przy sobie nie było podobna, a oddać je lada komu — strach. Materski był uczciwy człowiek, ale nie wytrzymałby i zaraz wina z Węgier sprowadzał, a potem kapaniną odbierał... Bramiński zacny także, wielce goły był i nie zamczysto koło niego. Przychodziła tedy na myśl pani Salomonowa... ale z tem musiał Janek czekać do jutra...

Zrana pożegnawszy na dobre Materskich, posunął się chłopak do niej ze swoim skarbem....

Tymczasem, gdy go już nie było, nadciągnął Brzeski na swoją lampeczkę, a jak zwykł zawsze naprzód o Janka się dowiadywać, tak i tym razem zapytał... Gdzież mój chłopiec?

— E! już go pan tu nie zobaczysz — odparł Materski.

— A cóż się z nim stało? wygnaliście go, czy co?

— Nie, sam poszedł, anim go myślał strzymywać. Chłopcu się szczególniejsze trafiło szczęście...

— Cóż takiego? co?

— Wczoraj chodził do przybranej matki na Prądnik... a no, wracając spotkał panią... z pod Niepołomic...

Brzeski zbladł i za stół się pochwycił.

— Nie wiem, jak to tam było, czy jej ten Janek kogo przypominał, czy się rozrzewniła jego sierotwem... Dosyć, że wyściskała, ucałowała, pobłogosławiła, dała mu łańcuch złoty z relikwiarzem, ważący ze trzysta dukatów, i dodatku gotowizną na edukacją trzysta sześć obrączkowych...

Kupiec spojrzał na stojącego przed sobą Brzeskiego i aż się przestraszył. Kuternoga był trupio biały, wargi mu się trzęsły, oczy miał w słup stojące...

— Co panu takiego?

— Zgrzałem się czy coś... mdło mi...

Skoczył chłopak po wodę, Brzeski obalił się na ławę... Nie przyszło ani na myśl kupcowi, ażeby opowiadanie jego miało być przyczyną tak wielkiego wrażenia. Gość spuścił głowę i dumał. Przyniesiono mu wodę, podano lampkę miodu, wychylił jedno i drugie po kolei, i jak wrosły siedział na ławie nieruchomy. Kiedy niekiedy potoczył wzrokiem dokoła... i z piersi wyrywało mu się westchnienie.

W całym handlu ile było osób, zkolei wszystkim przygodę Janka poszedł opowiadać Materski... tak, że o tem tylko gwarzono przy wszystkich stolikach, niektórzy już wprzódy z innego jakiegoś źródła o przygodzie tej wiedzieli, bo głośną była w mieście.

— Wszystko to — rzekł szlachcic ze wsi, siedzący opodal — bardzo się łatwo tłumaczy, kto zna antecedencje familijne... a pono by nam najlepiej je opowiedzieć potrafił oto tu przytomny pan Brzeski.

— Przepraszam pana Wojskiego — odezwał się, pot ocierając ze skroni zagadnięty — ja przybyłem w dwór Podskarbica już później nieco... gdy się miał żenić...

— Jako żywo — przerwał Wojski — byłeś asindziej jeszcze u wdowej... musiałeś znać i widzieć to dziecię, które tak nagle zmarło, a po którem ona utulić się nie może... Otóż ów synaczek podobny być miał kubek w kubek do nieboszczyka ojca, a chłopak wczoraj spotkany i do niego i do Wojewody... Cóż dziwnego, że rozżalona kobieta, której teraz na świecie tak bardzo dobrze pono nie jest... wspomnienie szczęśliwych dni tak osobliwie powitała.

— Przepraszam pana Wojskiego — powstając z ławy przerwał Brzeski — jestem oficjalistą Podskarbicą, męża pani tej, i nie mogę tego ścierpieć, aby go niesłusznie obwiniano... Pani naszej chyba ptasiego mleka w domu braknie, a że dziecię umarło, któż winien! Boże to zrządzenie.

Wojski uśmiechnął się.

— Albo Boże — rzekł — albo czyje inne... Hej! wiedzą sąsiedzi jak kto siedzi... Dziecko nie na rękę było... Różnie o tem piszą i mówią.

— Panie Wojski dobrodzieju — łamiąc ręce zawołał Brzeski — w publicznem miejscu takie rzucać słowo... a czyż to się godzi?...

— Nie godziłoby się — mruknął stary szlachcic — gdybym ja je sobie z palca wyssał... ależ to chyba waćpan jeden nie wiesz o tem, iż cała okolica trzyma, że dziecka się pozbyto...

Brzeski oburzył się strasznie.

— A! na rany pańskie...

— Cóż? Niech mi przytomni poświadczą — zwrócił się do milczących świadków... Podskarbic nie dbał coś o serce swych współobywateli, ani o dobre ich o sobie mniemanie, to też zbiera owoce... On nam, myśmy mu obcy. Plotka złośliwa rosła, urosła, rozkrzewiła się, nikt go nie bronił, a teraz...

Nie miał już co mówić Brzeski, chwycił za czapkę ze stolika... Czołem panom! — zawołał — ja tego słuchać nie mogę...

Wychodząc słyszeć mógł śmiech, który się rozległ za nim. Chwilę potem jakby namyślając się, stał jeszcze Brzeski w progu kamienicy pod wiechą i ruszył krokiem pośpiesznym. Podskarbic miał przy ulicy Sławkowskiej kamienicę, która mu z jego ojczystych zmarnowanych majętności wielu jakiemś szczęściem ocalała. Podskarbic miał pewne w życiu chwile, pewne jakieś tajemnicze potrzeby, fantazje, dla których się tu zamykał i czasem bawił po kilka miesięcy... Niekiedy też przyjmował tu swych serdecznych przyjaciół młodości, z którymi pił i hulał nieprzerwanie po kilka tygodni.

Podskarbic właśnie był w mieście od dni kilku, Brzeski wiedział o tem i wprost od Materskiego szybkim krokiem pobiegł, o ile mu kulawizna jego dozwalała, na Sławkowską ulicę... Miał on taki umówiony sposób kołatania do wrót, że mu stróż jako domowemu natychmiast odryglował.

Stało się i tym razem, że ledwie miał czas pot otrzeć z czoła, już się furta dla niego otwarła. Nie wszedł jednak skoro, bo wewnątrz słychać było kilka głosów różnych... dopiero za powtórnem pukaniem uchylono drzwi, rumiana twarz Podskarbica ukazała się gniewna...

— Kto tam?!

— Postrzegłszy wszakże swojego pomocnika i duszę zaprzedaną, Podskarbic nie wpuszczając go do komnat, wyszedł ku niemu...

— Proszę na ustęp... wnijdźmy gdzie... bo są ważne rzeczy...

— A ty mi, dokuko nieznośna, ptaku złej wróżby, zawsze musisz przyjść coś złego zwiastować, gdy ja chcę nieco odetchnąć! — zawołał Podskarbic.

— Jabym nie chciał, ale muszę — szepnął Brzeski — tu chwili do stracenia niema...

Podskarbic otworzył drzwi ciasnego gabinetu narożnego i wprowadził za sobą Brzeskiego...

Rzucił się na stojącą w kącie sofę. — Mów!...

— Stała się rzecz najgorsza, jaka tylko stać się mogła — szepnął Brzeski — nim zdołałem namówić chłopca, boć go przecie z pośrodka miasta siłą zabrać niepodobna... Pani go spotkała na drodze, uderzona została tem nadzwyczajnem podobieństwem... stała się scena wpośród gościńca... Ludzie go otoczyli, widzieli znamię pod uchem.... Pani zebrała, co było pieniędzy przy służbie, zdjęła z siebie łańcuch złoty i wszystko to oddała chłopcu... płacząc i błogosławiąc...

Podskarbic, który się był rzucił leżeć i spoczywać, zerwał się słuchając i przyskoczył wkońcu do Brzeskiego, chwytając go za gardło.

— A któż temu winien, niegodziwcze jakiś — zawołał — jeżeli nie twoje tchórzostwo, głupota, niezgrabstwo?... Czemużeś go nie uwiózł, nie uprzątnął, nie zaprzepaścił... nie...

— Dobierzże pan sobie lepszego sługę! — wyrywając się z jego rąk, krzyknął Brzeski — dość tego!

Odstąpił krok ku drzwiom, jakby chciał iść.

— Stój... niedźwiedziu ty jakiś, stójże! gadaj mi — wołał Podskarbic. — Wziąłem cię gołego, napchałeś się u mnie, zbogaciłeś, nakradłeś, a teraz myślisz, że ja ci tak dam pójść bezkarnie, gdy ci się zechce?

Na twarzy Brzeskiego bezsilny, ale straszny gniew się odmalował...

— Nie wziąłem u was darmo nic, takie usługi, jakiem wam świadczył, drogo płacić się muszą — mruknął — pójdę, gdy zechcę, i nie uczynicie mi nic, bo wiecie, że mogę sam zginąć, ale gdy zechcę, to i was zgubię...

— No, milcz... dosyć! — sucho przerwał Podskarbic — do rzeczy! Chłopca należy sprzątnąć...

— Teraz ,gdy na niego wszystkie oczy zwrócone? — spytał Brzeski.

— Teraz, gdy ma kilkaset dukatów, a miasto całe wie o tem, zniknie i nikt nie posądzi innych sprawców, tylko zbójców, co na pieniądze czyhali — odezwał się Podskarbic. — Nie ma tu co myśleć... daj go tylko do kamienicy na ręce Hurdy, a ten będzie wiedział, co ma z nim zrobić... Do bramy go przyprowadzić o mroku nie wielka rzecz... więcej od ciebie nie potrzebuję...

— Tak! tak! łacno wam rzec! — niewyraźnie wyjąknął Brzeski — ale...

— Musisz go wziąć, czem chcesz i jak chcesz... Hurdę ja zawiadomię, co uczynić ma... byleś mu go do rąk oddał... Jeśli ty się nie sprawisz, znajdę innego, lecz mi się więcej nie pokazuj na oczy, i zrób testament a wyspowiadaj się... Sługą być nie chcesz, nieprzyjacielem musisz, a ja nie ścierpię wroga swobodnie chodzącego...

Podskarbic wstał i siadł trzęsąc się znowu i powstał raz jeszcze:

— Rozumiesz... masz do wyboru... zrób swą powinność lub... gotuj się iść tam, skąd się nie powraca. Ja już nic nie mam do stracenia — dodał z iskrzącemi się oczyma — albo było nie zaczynać lub potrzeba kończyć!!

17. W grobowcu.

Gdy ex-wojewodzina nazajutrz stanęła w swej rezydencji nad wieczorem, znużona drogą i chora, z powodów zapóźno obmyślanej ostrożności zakazano dworowi o przygodzie na drodze u Prądnika rozpowiadać. Służba też, która dalej stała, nic nie widziała i nie widziała oprócz tego, że chłopca ubogiemu na drodze dano sutą jałmużnę, co żadną osobliwością nie było. Dworzanin tylko rękodajny, który w podróży zastępował marszałka i koniuszego zarazem i towarzyszka jejmości, co się zbliska chłopcu przypatrzyli, wiedzieli, dlaczego pani tak była wzruszoną, i wrócili pełni różnych myśli... Ex-wojewodzina położyła się czując niezdrową, a w parę godzin potem p. Bronisz powołany do towarzyszki jej, starej Łowczynej, wsunął się do jej pokoju...

Zastał ją na progu oczekującą, schwyciła go zaraz za rękę.

— Poczciwy mój Bronisz — zawołała — ty tu jesteś jeden człek z głową, na którego rachować można i zwierzyć mu się godzi... Byłeś świadkiem wszystkiego... Pani rozmarzona... spłakana, poruszona... Co to jest? co może być? mów... Nigdy mi się głupim gadaniom wierzyć nie chciało... ale to znamię... złym ludziom... wszystko możliwe... któż wie, kto ten chłopiec...

— A pani Łowczyna dobrodziejka — rzekł Bronisz — jam się też przez całą tę drogę myślami namęczył...Bóg jeden wie, co to jest, ale dochodzić trzeba...

— A! śledź! dochodź! byłbyś dobroczyńcą tej kobiety — rzekła Łowczyna... — Ja, co myślę, tego powiedzieć sama przed sobą się boję. Podskarbica nie winię, ludzie czasem chcą myśli pańskie zgadywać i gotowi choć na zbrodnię. — Brzeskiego waćpan znasz...

Bronisz kiwnął milczący.

— Łowczyno dobrodziejko, zawczasu ani mówić nic, ani obiecywać nie mogę, proszę się spuścić na moje gorące do pani przywiązanie... zrobię... co sumienie i rozum podyktują.

Pocałował w rękę staruszkę i pospieszył na plebanję do proboszcza. Był nim starzec, niegdyś obowiązany rodzinie wojewody, człek zacny, pobożny, spokojny, ale wiekiem i chorobą złamany. Zastępował go w kościele i parafji wikary z Krakowa przysłany, czynniejszy nad niego, którego dla rozległych wsi, do kościoła należących, że je ciągle objeżdżać musiał, rzadko w domu było zastać.

Staruszek przywitał Bronisza jak syna... zaczął o podróż rozpytywać, o zdrowie pani, o Kraków, o nowiny... Wszystko to zbyło się słowy krótkiemi... Bronisz widocznie miał coś na sercu, i pilno mu było z proboszczem się rozmówić.

— Ojcze — rzekł, szepcząc mu do uchha — mam do was prośbę największej wagi... Na miłość Bożą wysłuchajcie mnie... i pomóżcie do wyświecenia całej prawdy...

— Ale cóż to jest znowu? przestraszasz mnie! — rzekł starzec — żart czy prawda?

— A! prawda i bodajby nie była bardzo smutną, dodał Bronisz... — Posłuchajcie, stare to są dzieje, ale nikt ich lepiej nad was nie pamięta... Gdy się pan Podskarbic z panią naszą żenił, dziecko mu było bardzo na zawadzie ze wszechmiar... Pani wyjechała na pogrzeb matki, a dziecię umarło, i zmarłe pochowano jakoś tak uwinąwszy się, że nikt go po śmierci nie widział... Ludzie pletli i powtarzali, że się chłopca pozbyto, a byli tacy, co imiennie Brzeskiego o to obwiniali.

(Ciąg dalszy nastąpi).

W letnią noc.

Ogromne hale maszyn trzęsą się złowrogo i z jakąś wściekłością; transmisje, ubrane pasami, kręcą się w nerwowym pośpiechu; czarne świecące warsztaty kapią oliwą i trzaskają bezustannie. Ludzie wychudli o oczach zalękłych obsługują bez przerwy te potwory ze stali, które pożerają ich pracę, energję i krew.

Czasami po halu mignie barwna sukienka nowicjuszki, czy znów tkacz niosący wątek lub zwoje bawełny. Wszystko to spieszy — próżnować nie wolno.

Chwilami ozwie się piosenka cicha, tęskliwa, jak skarga, jak płacz... lecz wnet ginie niedokończona, zagłuszona zgiełkiem i haosem.

Wszędzie ruch i gorączkowość. Jakieś jęki idą po halu, śmiechy i gwizdy, jakby szatan wyprawiał swe harce. Chwilami zda się, że człowiek straci panowanie nad temi potworami ze stali i żelaza. Lecz człowiek zlany potem, nieraz z ostatnim wysiłkiem, ale zawsze okazuje swą wyższość, Wszystko to napełnia serca jakimś lękiem i grozą niesamowitą.

Nadchodził wieczór.

Gwizd rozległ się przeraźliwy. Wyprostowały się zgarbione plecy, żywiej zabłysły oczy. Maszyny zwolniły swój szalony bieg, uspokoiły się i pozostały nieruchome. Groźne ich cielska już nie żądają obsługi swych ofiar-ludzi.

Wszystko opuszczało spiesznie hale. I po jakimś czasie cisza zaległa wszędzie i ciemność poczęła się wkradać kociemi krokami. Warsztaty pogrążyły się w cieniach i stały się jakieś groźne. Wszędzie się coś czaiło i jakby gotowało do skoku. Jakieś dziwne postacie wyciągały drapieżne ręce, jakby chciały dławić i miażdżyć.

Noc duszna i parna. Na niebie zbierają się chmury ciężkie i groźne. Zda się, że lada chwila ozwie się grzmot i błyskawica przeszyje ciemności.

W niedużej izbie fabrycznej, przy blasku jedynej świecy, siedziało kilku tkaczy. Jedni palili fajki, a drudzy pili jakąś ciecz zabarwioną przypominającą kawę. Milczeli, tępemi oczyma patrzeli przed siebie. Każdy myślał o swych troskach i czy jeszcze jakiś czas utrzyma się w pracy? To ich trapiło i odbierało ochotę do rozmów.

Gdzieś daleko ozwał się pierwszy grzmot i błyskawica rozdarła ciemności. Jaśniej zarysowały się ich twarze pokryte zarostem. Deszcz lunął i począł uderzać grubemi kroplami o szyby okien.

Siedzący spojrzeli po sobie jakoś żywiej. Jeden z nich o twarzy miłej i pięknem czole siedział smutny. Był wypowiedziany z pracy. Ostatnią noc śpi we fabryce. Nie będzie więcej zarobkować, ale i niema dla kogo. Sam jest na świecie.

Burza zbierała się w jego sercu. Czuł się pokrzywdzony. On, który przeszedł wojnę całą!

— Czy już pójdziecie spać Pawle? — zapytał go jeden z zabierających się do spania.

Zaprzeczył ruchem głowy i pogrążył się dalej w swych myślach. Nawet nie zauważył, że świeca już zgasła. A przez otwarte okno zaglądał księżyc. Miarowe chrapanie rozlegało się od śpiących, którzy odpoczywali po całodziennym trudzie.

Zdawało mu się, że jest na froncie. Stoi na posterunku i widzi przy świetle księżyca śpiących towarzyszy. Obłoceni, głodni i zziębnięci tulą się do ziemi-matki i odpoczywają po ciężkim dniu walki. Nad polami zrytemi od pocisków unoszą się białe mgły... Po wnękach i rowach strzeleckich krążą jakieś widma i pochylają się nad śpiącemi. Kładą swe wychudłe ręce na bladych czołach śpiących i znaczą ich jako przyszłe ofiary na dzień jutrzejszy.

— Wszyscy poginęli. Nikt nie pozostał mu z bliskich na świecie. Dzisiaj stracił pracę, jak tysiące innych. A co będzie dalej? Jakie będzie rozwiązanie tej nędzy, która panuje na świecie?

Wtem oczom jego ukazały się pola zryte od pocisków. Dymy unosiły się nad niemi, a gdzie one przeszły, tam znikały urodzaje i ginęło wszelkie stworzenie. Wśród tych żółtych dymów zmagają się ludzie, ubrani w straszne maski i niepodobni do siebie. Czyhają na siebie bez litości, bez serca. Widzi swych dawnych towarzyszy z czasów wielkiej wojny. Biegną z kurczowo zaciśniętemi karabinami, rwią druty kolczaste z wściekłością. Poznają go i wołają do siebie. Ostrzami bagnetów wskazują mu znienawidzonego wroga.

— Pawle, czy nas nie poznajesz? My twoi bracia, twoi towarzysze — pójdź z nami. Odwieczny nasz wróg, wyciąga swe ręce na naszą ziemię. Pójdź!

Zerwał się z błyskiem w oczach, groźnie zacisnął pięści i zawołał:

— Idę już ,idę!...

Głos jego straszny zbudził śpiących. Zerwali się i patrzeli na niego z przerażeniem.

Był cały w poświacie księżyca i z włosem rozwianym. Ręce wzniósł groźnie ku górze i szedł w stronę otwartego okna. Powtarzał bez przerwy:

— Idę już, idę...

Wdrapał się na okno i począł się wspinać po wystającym murze ku górze.

Patrzeli za nim z przerażeniem, nie mogąc słowa przemówić.

On szedł szczytem najwyższego dachu cały w poświacie księżyca, z włosem rozwianym i z rękoma wzniesionemi groźnie przed siebie. Jakby wskazywał jakieś bliskie cele. Szedł ku strasznej przepaści.

Zamierały serca patrzących. Widzieli, że jeszcze krok, jedno posunięcie, a będzie po nim. Roztrzaska się na twardym bruku dziedzińca fabrycznego. — Krzyk trwogi wyrwał się z ich prostych serc o los towarzysza.

— Stój! Pawle, stój!

Zachwiał się na samej krawędzi i osunął w straszną przepaść.

Księżyc oświetlał grupkę mężczyzn, pochyloną nad jego ciałem. Otworzył oczy i zapytał cichym głosem:

— Czy zwyciężyliśmy?...

— Zwyciężymy, Pawle — odrzekli. — Nie damy sobie odebrać ani piędzi ziemi ojczystej!

Zamknął powieki w jakimś błogim uśmiechu; usta jego jeszcze szeptały:

— Nie dajcie się, braty kochane, nie pozwólcie...

Nie dokończył, bo jego dusza żołnierska przeniosła się tam, skąd już nikt nie wraca, a gdzie niema walki, niema cierpień i łez ludzkich.

Michał Kempys.

Ciepły dzień.

W oparów pełnem powietrzu — fruwają płatki kwiatów,
Zrywa je garściami wiatr i w przestrzeń rzuca.
Upaja nas miodna woń, czarownych objatów.
Przyrody roześmianej, której dziś nic nie zasmuca.
Sady z owocem runią pałają —
Chylą ku ziemi ramiona ciężarne.
Fletnie pastusze gdzieś w rozłogach łkają —
Ptactwo kaskadą tonów śle hymny ofiarne
Do Niebios.

H. Latawcówna.

MAZEPA, OSTATNI HETMAN KOZAKÓW.



Powyżej zamieszczamy obrazek, przedstawiający mężczyznę, przywiązanego do dzikiego i rozszalałego rumaka. Jest to ostatni hetman Kozaków, Mazepa. — Dziwne były koleje życia tego człowieka. Urodził się on w roku 1620, we wsi Mazepińce na Wołyniu, a po ukończeniu szkół w Kijowie i Warszawie, jeździł zagranicę, a wreszcie został paziem króla Jana Kazimierza. W roku 1663 opuścił nagle dwór i zaczął spiskować przeciw królowi. O tych praktykach doszła wkrótce wieść do Warszawy, zwrócono czujne oko na nie, a sąsiad Mazepy, Stanisław Falibowski, przychwycił list jego w sprawach spisku. Zaprosił tedy Mazepę do siebie, kazał go rozebrać do naga, przywiązać do ogona własnego konia, którego batem popędzono w świat. Ale Mazepa chwycił się zręcznie brzucha konia i ocalał; udał się do Kozaków za Dniepr, zyskał wkrótce wielką wziętość u nich i otrzymał za zgodą cara rosyjskiego godność hetmańską w r. 1687. Piotr Wielki ufał mu zupełnie i hojnie obsypywał

go darami, ale niespokojny umysł Mazepy nie zadowolił się tem stanowiskiem: marzył o udzielnem księstwie, o odegraniu wielkiej roli. Wysłany w r. 1705 na pomoc królowi polskiemu Augustowi II przeciw Karolowi XII królowi szwedzkiemu, połączył się z nim przeciw carowi Piotrowi. Lecz nie wszyscy Kozacy poszli za jego przykładem. Pod Połtawą rozstrzygnęły się jego losy: musiał uciekać z Karolem XII do Turcji. Turcy na żądanie cara chcieli go wydać carowi. Mazepa, dowiedziawszy się o tem, zażył trucizny.

Jak widzimy, na obrazku artysta nieco inaczej przedstawił przywiązanie Mazepy do konia. Narysował on go przywiązanego do grzbietu końskiego, a nie do ogona. Tak samo Słowacki w dramacie swym p. t. „Mazepa", jako powód ujścia Mazepy na Ukrainę podaje romans wojewodziny Amalji z Mazepą, odkryty przez starego wojewodę. Po Ukrainie krąży do dziś dnia wiele dum o Mazepie, które opiewają prawdziwe i nieprawdziwe zdarzenia z życia tego niezwykłego człowieka.



MACIEK BZDURA GADA:

Wiadomo przecie wszyćkiem juz chyba dokładnie, ze ja, jak ni mam co robić, to myślę o babach, a nawet niktórzy powiadają, ze to jest świństwo, tak cięgiem o nich myśleć. Mnie się jednak zdaje inacej, bo przecie baby to nie zadne świństwo, ale takie samo ścirwo z krwi i kości, jak kazde inkse ludzkie stworzenie. A myślenie o babach moze być wprawdzie grzychem, ale moze być i najcięzsą pokutą za grzychy. Zalezy od tego, jak się o nich myśli.

Jeśli się myśli o tem, co widać na wirzchu, albo ca na kuzde zycenie uźryć mozna, to ocywiście moze to być zberezieństwem, ale jak się myśli o tem, cego w babie nawet przez śkła powiększające lada śmiertelnik dojrzyć nie moze, to powinno się to uwazać za zasługę przed Bogiem i ludźmi.

Kuzda baba, tak jak zreśtą kazdy porządny cłowiek, składa się z dwóch połówek: ciała i dusy. Ciało ma na pokaz, kuzdy je więc widzi i moze się mu napatrzyć, ile zechce, zwłasca w teraźniejsych casach, kiedy to białegłowy ino strzępki ubrania na sobie nosą. Choćbyś nawet nie chciał cego widzieć, to nie poradzis, bo gadajże naprzykład z wiatrem, aby tych leciutkich smatek nie podwiwał i nie wodził cłeka na pokusenie. Inacej jest z dusą: ta siedzi gdzieś ukryta na samem dnie babskich wnętrzności i ani się jej rus w razie potrzeby dosukać. Chłop ma swoją dusę na dłoni i przez to ją łacwo kuzden zuźryć moze, ale odsukać babską dusę trudniej anizeli pchły na wielbłądzie. I latego właśnie ludzie nie latają za babskiemi dusami, ale za ich ciałami, bo to, co widzą, łacwiej ocenić mogą i to się im prędzej spodobać moze.

Powiedziałem wyzej, ze kuzda baba składa się z dwóch częsci, to jest ciała i dusy, ale powiedziałem nieprawdę, bo baby składają się nie z dwóch, ale z trzech częsci, a mianowicie z ciała, dusy i ubrania. I na te właśnie cząstecki łapią chłopaków. Jedni z nich lecą na zywe mięso: im dzieucha ma śwarniejsą buzickę, zgrabniejse nózki i reśtę jenteresów aligancką, tem prędzej złapie jakiego śturkaca. Dusę moze mieć carną, jak smok, dziś na to nikt nie patrzy, a choćby chciał patrzyć, to mu ją trudno zuźryć, bo takie baby swoją dusę chowają gdzieś pod kolanem. I latego tez dzieuchy o ładnych pyskach i zgrabnych ciałach, a choćby o najcarniejsych dusach mają większe powodzenie, anizeli takie, które mają dusycki ślicne, a ciało niebardzo urodne.

Są jesce i takie chłopaki, którzy nawet i na ciało niewiele zwracają uwagi: ich jenteresuje to, co najblizse ich oka. Gęba moze być, jaka się uda, dusy moze nawet nie być, byle była ładna spodnicka, ładne pońcoski, jedwabne majtecki, to jem to wszyćko wystarcy. Ciało obchodzi ich niewiele, dusa nic, a najważniejszą rolę grają te fatałaski, które dzieucha nosi na grzbiecie. I mają rację, ich zdaniem, bo przecie dusa ani zimniaków nie ukopie, ani krów nie wydoi, ale siedzi sobie gdzieś w babskiem ciele i nikt nie wie, co i jak robi.

Mało jest takich, którzy nie zwazają na babskie fatałaski, albo na babskie ciało, ale sukają u baby dusy pięknej. I latego tak mało na świecie małzeństw scęśliwych.

I dziwi mnie lacego tak jest, bo właśnie powinno być przeciwnie. Wiadomo przecie, ze najbardziej to cłowieka zaciekawia, cego nie widzi. Weźmy naprzykład babskie ciało. Jak wiadomo, kuzda baba gębę nosi na wirzchu, ręce gołe nosi na wirzchu, w teraźniejsych casach i prawie całe nogi nosi na wirzchu. Ludzie chodzą koło tego, patrzą na to i jakoś ich to bardzo nie ciekawi. Ich ciekawi to, cego nie widzą, więc tez jak się ino trafi sposobność to podglądają, aby mogli zuźryć jaki zakazany owoc. Przypuśćmy, zeby tak wszyćkie baby całkiem nago chodziły, to wtencas pewnikiem niktby na zadną ani nie popatrzył. Jakby ją raz ujrzał, miałby dość. Dziwię się więc lacego właśnie nie sukają tej tak dobrze ukrytej dusy, aby ją poznać, aby ją umiłować, jezeli na umiłowanie zasługuje? A moze to chłopskie lenistwo temu winno? Nie chce się im sięgnąć głębiej, więc gapią się na to, co blizse ich oku, podziwiają to, co prędzej zuźryć mogą, a zapominają o tem, co tam gdzieś we wnątrzu babskiego nasienia siedzi. A gdyby tak chcieli posukać głębiej u baby, to znaleźliby tam nieraz skarb prawdziwy, któregoby za zadne skarby świata nie oddali. A znaleźliby skarb taki, nie jak ciało ludzkie, które dziś jest ślicniuśkie, a jutro moze być śkaradne, jak noc najcarniejsa. Niech ten, kto podziwia ino urodę dzieuchy wyobrazi sobie, ze pewnego dnia przysed do jego dziopy jakiś piekielnik i z gębusi jej obłupał kozikiem cieniusieńko skórkę. Cózby z jej piękności pozostało? Tyle, co z prosięcia, które się na patelnię wsadzi. Ale jeśliby tasama dzieucha miała piękną dusę, to i dziesięciu piekielników piękności jej nie obskubie, bo ich krzyzikiem świętem odpędzi i pozostanie zawse piękna.

Latego tez radzę kazdemu, aby tak, jak ja, myślał i on cięgiem o babach, ale aby więcej myślał o dusach babskich, anizeli o ciele, a będzie lepiej na świecie.



Ostatni prześladowca chrześcijan.

Jednym z największych prześladowców chrześcijan był, jak wiadomo, cesarz rzymski Neron, którego uwiecznili najwięksi nasi mistrzowie, a mianowicie



Henryk Sienkiewicz w przecudnej powieści „Quo Vadis“ i Henryk Siemiradzki na płótnie w „Pochodniach Nerona“. Neron, jak zresztą wielu innych cesarzy rzymskich, uważał się za boga i żądał, aby mu cześć boską oddawano. A był przytem pomylony na umyśle. Zdawało mu się, że jest największym artystą na świecie, więc też śpiewał i deklamował publicznie i kazał sobie bić w nagrodę oklaski. A poddani jego, choć zatykali uszy przed jego śpiewem, czy deklamacją, gdy skończył, oklaskiwali go szalenie i gratulowali mu olbrzymiego talentu. On to, aby deklamacja jego miała odpowiednie tło, kazał podpalić Rzym i w czasie pożaru deklamował nieudolne wiersze. A potem całą winę pożaru zrzucił na chrześcijan i męczył ich za winy niepopełnione. Jak żył marnie, tak marnie skończył, uciekając z Rzymu, gdzie już i najcierpliwszym cierpliwość się wyczerpała.

Po jego śmierci zdawało się, że ciężkie czasy dla chrześcijan już minęły, że choć potajemnie, ale swobodniej będą mogli wielbić Pana nad Pany. I rzeczywiście na jakiś czas prześladowania ucichły. Wznowił je dopiero cesarz Dyoklecjan, panujący od roku 284 do 305. Prześladowania za jego panowania przeszły jeszcze okrucieństwem prześladowania za Nerona. Nieraz mordowano w tem samem miejscu i czasie 30—60 i po 100 chrześcijan; kaci ustawali od zmęczenia, tępiły się i łamały ich miecze, ale wściekłość ich nie słabła. Gdy się już zmęczyli pojedyńczemi egzekucjami, gromadzono ofiary na stosach, wrzucano związanych na łodzie i topiono w morzu, wreszcie oddawano na pastwę dzikim zwierzętom. Lecz mimo tych męczarni prawie wszyscy chrześcijanie pozostawali wiernymi, radośnie umierali za Chrystusa.

Wreszcie pragnienie krwi nasyciło się, kaci nie mogli już nowych wymyślać męczarni, a dawne im spowszedniały, wówczas, jak głosił ówczesny edykt: „serce cesarza skłoniło się do łagodności“ i tknięty „litością“ polecił, aby wyznający wiarę chrześcijańską byli tylko pozbawiani oka i nogi i oddawani do kopalni na pastwę swoich dozorców.

Dyoklecjan umarł albo otruty albo z głodu. Po nim władzę cesarską objął Konstantyn Wielki, który nietylko nie prześladował wiary Chrystusowej, ale pozwolił ją jawnie wyznawać w całem swem państwie.

Na obrazku naszym widzimy popiersie Dyoklecjana, tego ostatniego prześladowcy wiary Chrystusowej w Rzymie.

Topielce...

Wiara ludu polskiego w różne demony zaludniła, jak wiadomo, powietrze, niebo i ziemię, wodę i ogień. Prawie, że pierwsze miejsce zajmują tu topielce. Toteż do dziś lud nasz w różnych okolicach sądzi, że „topielec, to zły duch, który wchodzi w człowieka z ciała utopionych“.

Mówią, że tuż koło Kalwarji Zebrz. żydówka pewna z rozpaczy wskoczyła do rzeki, tam przepływającej, i że w tem samem miejscu pokazuje się widmo topielca w białej szacie. W innych znowu stronach Polski opowiadają o przemianie człowieka utopionego w ducha wodnego, zwanego „wodnikiem“.

W Rudawie, płynącej częściowo przez Kraków, topielce są podobno w bardzo bliskich stosunkach z boginkami, mieszkankami lasu, toteż w tych okolicach lud wiejski wierzy święcie, że te boginki potrafią dziecko odmienić, t. j. ładne i dobre dziecko wezmą, a na jego miejsce dadzą brzydkie i uparte.

Syn boginki także jest topielcem, oboje zaprzedani djabłu. Podanie krakowskie mówi o młynarzu, któremu boginki ciągle most psuły, (ten most znajduje się dotychczas na końcu ul. Krupniczej) dlatego że główny słup mostowy szedł prosto do kołyski ich dziecka.

Boginiarz, czyli wodnik doniósł o tem młynarzowi i sprawa została załatwiona ku obustronnemu zadowoleniu.

Według wierzeń ludowych, to każdy prawie obszar wody ma swojego wodnego ducha, który przesiaduje w najgłębszych głębinach, w najniebezpieczniejszych wirach.

W wierzeniach ludu krakowskiego występuje demoniczny charakter Wodnika. Jest on władcą wód i wszystkiego, co z tym żywiołem pozostaje w związku. Na znak dany jego czarodziejską laską staje przed nim czarodziejski pałac, lub woda rozstępuje się i jest przed nim przecudny gościniec.

Władza tych wodnych demonów trwa tylko do pierwszego piania koguta, po pierwszem pianiu wszelka jego władza ustaje i nie wolno mu już topić ludzi.

Znam jedno króciutkie opowiadanie o topielcu, którego pewien wieśniak z Krakowskiego wyłowił z rzeki, gdy zapuszczał sieci na ryby. Po wyciągnię-

ciu z rzeki, wziął tego topielca do chaty, trzymał go za piecem i dawał mu jeść. Przekrawał na obiad jaje na połowę, do jednej łupiny wlewał rosołu, do drugiej kładł ziarnka i to niósł mu na obiad. A topielec śmiał się do rozpuku: „Cha, cha, cha, co też to za gary!“, t. j. te łupiny z jaja.

Po roku, na usilne prośby topielca, gospodarz puścił go, a później miał tyle ryb, ile mu się podobało.

Nieraz widać takiego topielca, jak się wygrzewa w słońcu, lub czesze sobie włosy, a na widok ludzi wskakuje do wody, nie czyniąc im nic złego.

Pewien gospodarz, wracając z jarmarku, spotkał się z topielcem na drodze nad rzeką. Gdy zły duch zastąpił mu drogę, zaczęli się bić ze sobą. Gospodarz wiedział od starych ludzi, że w takim razie trzeba się strzec, aby topielec w usta nie chuchnął.

Toteż odwracał głowę a bił, wkońcu jednak zdołał się mu wymknąć i ledwo żywy wrócił do domu.

Gdy przed kilkunastu laty wezbrały wody Wisły i woda wylała na okoliczne pola, mieszkańcy pewnej miejscowości, dla odwrócenia nieszczęścia, postanowili zabić czarnego wieprza na ofiarę. Jakiś chłop z Małopolski, dla oddalenia klęski, radził zakopać głowę żyda brodatego, ale do wykonania ofiary ludzkiej nie przyszło.

Jak widać z tej ostatniej rady, to straszliwy przesąd z czasów barbarzyńskich, tuła się jeszcze między ludem naszym w dwudziestym wieku, jako zabytek kultury pierwotnej. *Stanisław Jucha.*

EUGENJUSZ CHAVETTE.

Tajemnicza zbrodnia.

ROMANS KRYMINALNY.

(Ciąg dalszy).

ROZDZIAŁ IV.

Cezar, wyszedłszy od Krapiszetki, wsiadł do dorożki, ale że na rozmowie spędził kawał czasu, była już północ prawie, kiedy przybył do domu. Tu dowiedział się, że w czasie jego nieobecnoci był Barantel pod pretekstem zarządzenia pewnych poprawek w mieszkaniu.

Desormeaux, przyszedłszy do siebie, przedewszystkiem odsunął rygle. Potem dostał się do pokoju, gdzie przed dwudziestu czterema godzinami przepędził noc tak szczególną. Następnie stanął przed drzwiami, które go oddzielały od pokoju zbrodni i, zapukawszy w nie trzy razy, zapytał głosem bardzo czułym:

— Czy śpisz, sąsiadeczko?...

— Nie, panie Cezarze — odpowiedział głos bardzo słodki i nieco drżący.

— To otwórz, sąsiadeczko, okienko, jeżeli łaska.

— Dobrze, biorę się do mego rusztowania — dodał głos kobiecy.

— A ja będę panią naśladował — odrzekł młodzieniec i przysunął do drzwi stół, a na nim postawił krzesło. Potem, widocznie, nie chcąc schodzić później, postawił na końcu stołu resztkę wiktuałów rannych, które wyjął z szafy, gdzie je był zamknął.

To uczyniwszy, wlazł na stół, posługując się drugiem krzesełkiem, wszedł na krzesło, i tak umieściwszy się, znalazł się na wysokości ruchomego okienka, umieszczonego w górze przeforsztowania.

W tejże chwili szyba, otwierająca się z wewnątrz klamką, zsunęła się na zawiasach, okienko pozostało otworem, a w tem okienku ukazała się zachwycająca główka jasnowłosa nieco przerażona, która na samym wstępie rzekła:

— Ponieważ sąd pozostawił podniesione rolety w oknach, niepodobna mi zapalać światła, bo blask jego, wydostający się na zewnątrz, obudziłby podejrzenie sąsiadów. Dlatego czas mi się wydał bardzo długim w tej ciemności... Nie mówiąc o tem, że na chwilę myślałam nawet, że pan o mnie zapomniał...

— Ja miałbym o pani zapomnieć! Czyś mogła mnie uważać za zdolnego coś podobnego uczynić... No, powiedz, sąsiadeczko?...

— Co, panie Cezarze?

— Nocy ostatniej, zapytała mnie pani o moje imię, a zapomniała pani powiedzieć mi swoje własne.

— Ja mam na imię Lucylla.

— O! bardzo ładniutkie imię... Otóż moja piękna Lucyllo, zacznijmy od rzeczy najpotrzebniejszej!... od kolacji.

— Z przyjemnocią — oświadczyła otwarcie ładna kobieta.

— A! — wyrzekł Desormeaux, jakoś raptownie zadumany — myślę o jednej rzeczy... Nie będziesz pani mogła jeść tak po ciemku w swoim pokoju... Otóż uczynię pewną propozycję... A najprzód powiedz mi pani, czy dość silnie stoisz na tem rusztowaniu, tak, że nie potrzebujesz się trzymać rękoma?

— Doskonale, a oto widzi pan, na dowód — rzekła blondynka, pokazując w otworze dwie drobne rączki wolne, które młodzieniec opanował szybko i puścił je dopiero po złożeniu na nich podwójnego pocałunku.

— O! o! psujesz mi pan równowagę. Upadnę! — wyjąkała śliczna istota, zaniepokojona niespodziewaną pieszczotą.

— Teraz przejdźmy do innego ćwiczenia, proszę, Lucyllo, weź ten widelec.

— Czy chcesz pan, ażebym jadła kolację na mem rusztowaniu? — zapytała blondynka, znowu się śmiejąc.

— Zgadłaś, sąsiadko. Pokraję ci kawałki na talerzu i trzymać go będę w górze, a ty będziesz mogła je dostać widelcem przez okienko...

— Ale pan nie będziesz mógł jeść kolacji?

— O! ja tak zrobię, jak to bywa na balach, gdzie kawalerzy siadają do stołu wtedy dopiero, gdy panie skończą jeść. Zgoda więc? Może ci podać trochę kurczaka, sąsiadeczko?

— Proszę — odpowiedziała dama.

Desormeaux podał jej talerz, na którym pokrajał kurczę na drobne kawałki.

— O, proszę — rzekł — proszę brać teraz widelcem... proszę się nie bać, ja trzymam mocno... położyłem też pani kawałek chleba na talerzu.

Blondynka wykonała ruch nakazany, i pierwszy kawałek kurczaka już znalazł się pod podwójnym szeregiem perełek.

— O! co za śliczne ząbki! — pomyślał Cezar.

Poczem dodał głośno:

— A teraz, Lucyllo, podczas tej kolacji, powinniśmy trochę pomówić... choć odrobinę... o! tyćko, jak ten kawałeczek kurczaka na talerzu.

— Pomówmy.

— Czy długo zamierzasz tak siedzieć pod pieczęciami?

— O ile będzie można.

— Ależ, prześliczny ptaszku, czy nie pomyślisz o tem, iż mąż twój jest oskarżony o to, że ciebie zamordował.

— No, to widzisz pan, że ludzie których zabija, miewają się dobrze.

— Tak, ale niechaj jutro sprawiedliwość go złapie, to go zaraz zamkną do więzienia...



Ukazała się zachwycająca jasnowłosa główka....

— Proszę pana jeszcze o kawałek kurczaka — przerwała spokojnie Lucylla.

— Bum!!! — rzekł Cezar, wcale niezmieszany. jorsztowania, bo piękna główka blondynki już znika jedzenie.

— A! zająłeś pan mój dawniejszy gabinet? — odezwała się blondynka, która przesunąwszy głowę przez okienko, przyglądała się meblom kawalera.

I sam sobie jestem wdzięcznym, ponieważ to sąsiedztwo dostarczyło mi przyjemności... jak przyznaję, bardzo niespodziewanej... bo zawarłem znajomość z panią.

— Tak, pojmuję, iż pan nie spodziewałeś się mnie zastać w tym tutaj pokoju.

— Tak, zwłaszcza po tem, jak sąd zwiedzał i przetrząsał wszystkie kąty... a pani chociaż jesteś tak drobniutką, nie mogłaś się przecież schować do niedostrzegalnej szuflady.

— Zatem zniknięcie moje musiało bardzo zaintrygować komisarza, sędziego śledczego i innych?

— Wszędzie szukają twego ciała.

Po tej odpowiedzi, Cezar, który wlazł znów na krzesło, podał jej talerz, dodając z miną przepysznie poważną:

— Kurczę gotowe!

Za trzecim kąskiem blondynka przestała jeść i odezwała się bardzo miluchno:

— Pić mi się chce, panie Cezarze:

— Bum!!! — powtórzył młodzieniec — zaraz schodzę do piwnicy.

— Przepraszam cię, mój sąsiedzie, że tyle ci sprawiam kłopotu.

— Żałuję mocno, że nie żądasz pani odemnie czegoś niemożebnego, bo i to bym uczynił — odrzekł szarmancko Desormeaux, który przed krzesełkiem nalewał do szklanki wody, wina czerwonego.

W tem, co powiedział, był tylko na wpół szczery, bo gdyby niemożebność była możliwą do urzeczywistnienia, możnaby się założyć, iżby starał się przedostać sam przez okienko, na nieszczęście zbyt wąskie, ażeby mógł się całą postacią przez nie przecisnąć.

Wszedł znów na stół, ażeby podać szklankę czekającej, która oddała mu ją, wychyloną do połowy.

— Mam myśl — zawołał.

— Jaką?

— Powiadają, że gdy się pije po kimś, można dowiedzieć się, co myśli... Zaraz się przekonam, czy to prawda.

I powoli wychylił szklankę, podczas gdy blondynka przypatrywała mu się wzrokiem drwiącym.

— Hm! hm! — rzekł, mlaszcząc językiem.

— Czyżby moja myśl była tak szczególną, że pan taką masz minę? — zapytała Lucylla ze śmiechem.

Na chybił trafił młodzieniec odpowiedział:

— Nie; dowiedziałem się tylko, iż pani jesteś... ale nie śmiem za wiele powiedzieć...

— Odważ się pan, bez obawy... jestem zupełnie pewną, że się pan mylisz...

— Ha! skoro pani pozwala... to powiem, że jesteś zakochana... i to zakochana, co się zowie.

Widocznie nie musiał się tak nazbyt mylić — bo Lucylla, skoro tylko usłyszała te słowa, mocno się zarumieniła i głosem wzruszonym, wykrzyknęła:

— Zakochana! ja?... A to dobre!... I w kimże jestem taką zakochaną?

— No, to pewna, że nie w panu Dargon — odparł Cezar.

Na imię męża, niewiasta pod pieczęciami wybuchnęła szczerym śmiechem i odpowiedziała żywo...

— Ha! ha!... Naturalnie, że nie w nim... o! co nie, to nie!

— Strzeż się, sąsiadeczko, strzeż się! popełniasz nieostrożność... Cyt! cyt! — rzekł młodzieniec, również się śmiejąc.

— Gdzież pan w tem widzisz nieostrożność?

— No, bo to prawie już wyznanie... Skoro mówisz, że to nie on, to już prawie spowiadasz się, że istnieje inny, którego nazwisko nie wywołałoby takiego śmiechu.

— Wiesz mój sąsiedzie, że to nie szlachetnie tak mnie męczyć, ażeby ze mnie wydobyć moją tajemnicę.

— Ależ, droga pani, to tylko przez troskliwość o ciebie. Bo pani nie możesz tego więzienia swego przedłużać wiecznie.

— Czy panu się już sprzykrzyło mieć mnie w swojej opiece?... Kwestja żywności zrazu mnie zaniepokoiła... dzięki panu, już się o to nie troszczę, i mogę już dowoli przedsiębrać doświadczenie.

— No, no! — rzekł Cezar — powiada pani, że dowoli... kto wie jednak, czy się pani co do tego nie łudzisz... niech mi wolno uczynić pani jedno zapytanie: czy wiesz, dlaczego nająłem to mieszkanie, zbyt obszerne, jak dla kawalera.

— Czy pan masz zamiar się żenić?

— Miałem przynajmniej... bo jak teraz, to małżeństwo wydaje się arcywątpliwem...

— Czyżby panu odmówiono?

— Nie, właściwie, ale mnie traktują w najniegodziwszy sposób, bo trzymają mnie w odwodzie, aż do czasu, gdy się zdecyduje ostatecznie mój rywal.

— Czyżby pańska przyszła była tak wybredna... bo wreszcie jesteś pan...

Cezar na ten komplement odpowiedział lekkiem skinieniem głowy, potem na samą myśl o postępowaniu Gabrjeli względem niego, podchwycił naiwnie:

— Pani byś mnie pokochała, nieprawdaż? Pani byś nie myślała o mniejszym lub większym majątku?

— Nie, bo gdy się wychodzi za mąż, przedewszystkiem myśleć należy o zapewnieniu sobie przedmiotu przyszłego szczęścia... Ja też nie zgodzę się na to, ażeby można zaślubić mężczyznę, nie mając do niego prawdziwego przywiązania.

— Ale już teraz późno, mój sąsiedzie, więc na dobranoc powiem ci słowa pociechy... nie trap się, jeszcze możesz odzyskać serduszko twojej ukochanej...

— Już prawie o niej nie myślę, bo zbyt niebezpiecznego mam rywala... A nawet pani go znasz.

— Któż to taki? — odezwał się głos z poza prze-
Na wystawie w Olimpji w Londynie, w dziale fry-

Widocznie pani Dargon zeszła ze stołu, zabierając się do spoczynku.

— A jest nim nasz właściciel domu, pan Leon Barantel, który chce ją zaślubić!

Za przepierzeniem było cicho, zapanowało najzupełniejsze milczenie.

— Widocznie sen ją już zmorzył — rzekł do siebie Cezar, wychodząc z mieszkania.

Ani podejrzewał, że piękna Lucylla, usłyszawszy tę wiadomość, osunęła się na łóżko zemdlona.

(Ciąg dalszy nastąpi).

W starym Bieczu.

Przy linji kolejí podkarpackiej, przy szosie Jasło—Gorlice, w pięknej, zdrowej okolicy Podkarpacia, na skale nad Ropą, dopływem Wisłoki, założył według podania w odwiecznych borach i lasach miasto Biecz, jakiś olbrzym, herszt zbójców, zwany Beczem, słynny z wypraw łupiezkich i rozbojów. Długo uprawiał zbójeckie swe rzemiosło bezkarnie i był postrachem całej okolicy, wkońcu jednak pogrążony w głębokim śnie po jednej z wypraw nocnych, został pojmany i dostawiony żywcem przed sąd królewski w Krakowie. Król skazał go na karę śmierci przez spalenie go na stosie. Beczowi jednak miłe jeszcze było życie i nie miał ochoty umierać. Na widok ułożonego stosu skruszył się i zaczął błagać ze łzami w oczach króla, by mu życie darował, w zamian za to poprzysiągł zbudować własnym kosztem z ogromnych swych skarbów, drogą rozbojów nabytych, a ukrytych starannie w skale nad Ropą, w miejscu, w którem zbójeckie swe rzemiosło uprawiał — miasto. Becz, po uwolnieniu go, słowa danego dotrzymał. Wynajął zaraz do karczowania lasów gromadę okolicznych kmiotków, którzy wynagradzani sowicie przez Becza, wykarczowali w krótkim czasie las, zbudowali kilkanaście domów, w których następnie sami się osiedlili, dla Becza zaś zbudowali dom murowany na samym rogu rynku, który przetrwał długie lata w oryginalnym stanie i dopiero przed niespełna stu laty został rozebrany i przebudowany. Nad drzwiami frontowemi, na ciosowym kamieniu, widniał herb Becza, litera B, który przy przebudowie zniszczono, a pamięć jego trwa dotąd między ludem jedynie w legendzie.

O starości Biecza świadczy wzmianka historyczna Długosza, który pisze, że w czasach panowania Bolesława Krzywoustego w r. 1125, Wołodar, książę przemyski, wysłał na czele zbrojnych hufców, syna swego Włodzimierza, który spustoszył kraj aż po Biecz. Widzimy więc z tego, że królewskie miasto Biecz, sięga w bardzo daleką przeszłość. Na miejscu dzisiejszego szpitala Jadwigi, miał znajdować się pierwotny zamek, własność królów polskich. W jego sąsiedztwie ugrupowała się osada, której Kazimierz Wielki nadał prawa i przywileje przysługujące miastom i opasał ją murem obronnym, zaopatrzył w 2 bramy, wyższą i niższą, urządził sześć furtek dla pieszych i zaopatrzył miasto w baszty, strażnice i mosty zwodzone. Na środku rynku zbudował okazały ratusz gotycki z wysoką wieżą, zachowany po dziś dzień w dobrym stanie. Przy grodzie urządzona była głęboka turma, na której wznosiła się wysoka wieża, w której tracono tajnie ludzi zamożnych. Po wyroku spuszczano ich do piwnic, na dnie turmy się znajdujących, dając im na pożywienie wiązkę siana i dzbanek wody do picia, gdzie ginęli straszną śmiercią głodową.

Biecz, jako miasto grodowe, posiadał własną jurysdykcję i prawo miecza. Karano śmiercią przestępców. Kat, mistrz Biecza, mieszkał tuż pod murami miasta naprzeciw grodu, oprawcy zaś jego mieszkali już za murami nad rzeczką Binarówką, a przychodzili do grodu tylko na rozkaz mistrza.

W dawnych czasach kat był straszną figurą. — Olbrzym barczysty, wyglądał ponuro i surowo. Odznaczał się ogromną siłą, potężną ręką, a mieczem władał po mistrzowsku; ubierał się w purpurowy płaszcz.

Na granicy Biecza, przy drodze do Binarowej, za obrębem warowni bieckiej, na górze za kościołem, w miejscu, gdzie do dziś stoi pamiętna figura w miejskim lesie, stała publiczna szubienica, gdzie tracono ludzi niezamożnych i zaraz na miejscu ich chowano, panów zaś rodowych karano śmiercią w grodzie. — Za mniejsze przestępstwo karano biczowaniem. Karę śmierci wykonywano w różny sposób, stosownie do rodzaju zbrodni i wielkości winy a mistrz-kat z oprawcami wysilał całą swą fantazję na wymyślanie całego szeregu mąk, które miano zadawać nieszczęsnym skazanym na „kwalifikowaną karę śmierci". Skazańców trzymano w podziemnych lochach bez światła i powietrza zanim ich stracono.

Biecz w chwili największego swego rozwoju był miastem dużem, liczył podobno 18 kościołów i miał nazwę „małego Krakowa".

Piotr Wenc.

Na ojczystej ziemi...

Hen, bardzo daleko — na ojczystej ziemi
Stoi mała chatka starą słomą kryta —
Do niej wciąż powracam myślami swojemi
Z tą wiarą, że ona mię jeszcze powita.

Na drogim skrawku mej ojczystej ziemi,
Nucą pieśń skowronki zawisłe w obłoku...
Białe ściany chatki pomiędzy drzewami
Słuchają w skupieniu szemrania potoku.

W ogródku przy chatce, białej róży krzaki
Zrosły samotne pomiędzy krzewami —
Zaś w łanach pszenicy czerwienią się maki,
Bławatki kołyszą główkami modremi.

Gdzie spojrzeć wokoło, tyle piękna, czaru,
Tyle pstrych motyli w powietrzu ugania...
Wieczorem, gdy spłynie srebrna mgła oparu,
Woń żywicy z lasu wiaterek przygania.

A gdy zmierzch zapadnie i tarcza księżyca
Wypłynie na niebo usiane gwiazdami —
Jest mi jeszcze smutniej — tęsknota powraca...
Wspominam o swoich... o rodzinnej ziemi...

Włodzimierz Zwoliński.



Poradnik gospodarczy.

Wywóz nawozu.

„Święty Idzi nic już w polu nie widzi“ — powiada znane przysłowie, a choć tam zupełnie tak nie jest, to w każdym razie w polach coraz bardziej zbiorów ubywa i trzeba pomyśleć o nowych.

Jak wiadomo, roślina, aby mogła nietylko żyć, ale i owoc wydawać, potrzebuje ziemi urodzajnej, to jest takiej, w której znajdują się cząstki odżywcze dla rośliny. Jeżeli na danej glebie rosną stale rośliny to zużywają one te cząstki i coraz mniej ich ziemia zawiera. Gdybyśmy tych cząstek nie dodawali, to wreszcie zabrakłoby ich zupełnie, albo byłoby ich tak mało, że dalsze rośliny na tej ziemi żyćby nie potrafiły, a nawet gdyby tam jakieś zeszły, to prowadziłyby tak marny żywot, iż nie byłoby z nich najmniejszej korzyści. Takie cząstki odżywcze dla rośliny daje nawóz naturalny, lub nawóz sztuczny.

Roślina do swego wzrostu potrzebuje różnych składników, podczas gdy nawozy sztuczne dają składniki pojedyńcze, to znaczy, że jeden gatunek nawozów sztucznych daje taki składnik, a drugi inny. — Natomiast nawóz naturalny, czyli stajenny, daje wszystkie składniki, przeto jest on ze wszystkich nawozów najlepszy. Ze względu na jego dobroć powinniśmy go też bardzo cenić, a tymczasem niejednokrotnie można zauważyć, że rolnicy przez nieświadomość nawozu tego nie cenią. A nie cenią dlatego, że się nieumiejętnie z nim obchodzą. Dzieje się to po największej części przy wywożeniu nawozu w pole. Niejednokrotnie można zauważyć w jesieni na polach leżące kupki nawozu przez czas dłuższy. Takie trzymanie nawozu w małych kupkach lub rozrzuconego po roli przez kilka dni jest bardzo niewłaściwe. Jeżeli bowiem powietrze jest suche i ciepłe, wytwarza się bardzo prędko w małych kupkach amoniak. ulatniający się łatwo w powietrzu, a wobec tego jest on dla użyźnienia roli stracony.

Z amoniaku tworzy się w ziemi sól i saletra, taką zaś saletrzaną solą jest saletra chilijska, która w właściwy użyta sposób, bardzo korzystny na urodzaje wywiera wpływ. Jeżeli więc pozwalamy amoniakowi, rozwiniętemu w nawozie, ulotnić się w powietrzu, to chcąc dobre mieć urodzaje, musimy dokupić saletry chilijskiej. Jest to zupełnie zbyteczny wydatek.

Jeżeli powietrze jest wilgotne, to deszcz spłukuje luźne, najlepsze składniki nawozu z małych kupek. Przechodzą one w znajdującą się pod niemi warstwę ziemi, która i tak już jest aż nadto przesycona nawozem, podczas kiedy sąsiednie kawałki otrzymują zamało części pożywnych.

W ten sposób nawożone pola wydają później plon bardzo nierówny, w niektórych miejscach zanadto rozwinięty, w innych zaś mizerny.

Nawóz więc wywieziony na pole powinno się natychmiast rozrzucić i przyorać, aby uchronić pożywne cząstki od ulotnienia się lub spłynięcia.

Drugą bardzo ważną rzeczą jest równomierne rozrzucenie nawozu. Wiedzą o tem w niektórych okolicach i rozrzucają go rękami, rozdrabniając na małe cząsteczki i przykrywając nimi prawie równomiernie całe pole. Sposób ten jest dość trudny do zastosowania w innych okolicach, po pierwsze dlatego, że wymaga dość dużo czasu, a powtóre, że ludzie nie chcą się paprać w gnoju. Ale jeżeli czas pozwala na to, to możnaby się popaprać, bo przecież potem można rączki umyć czyściutko, więc nic im nie zaszkodzi, a jeżeli rozrzucimy nawóz równiutko, to i jednostajne wszędzie będą zbiory.

Jeszcze jeden ważny błąd popełniają rolnicy przy wywożeniu nawozu, a mianowicie najpierw zbierają z wierzchu nawóz suchy, a potem coraz dalej przegniły. Wskutek tego na jedne zagony dostaje się nawóz lichy, z którego często dopiero w następnym roku jest pożytek, a na drugie przegniły, który oczywiście jest znacznie lepszy. Dlatego też dobrze jest zadać sobie nieco trudu i przed wywiezieniem przemieszać dobrze nawóz, aby wszędzie dostał się jednakowy, a wówczas i na całym łanie będą jednakowe zbiory.

Czarne plamy na owocach.

Często widzieć się dają na owocach, a w szczególności na gruszkach i jabłkach, czarne plamy pokrywające całą skórę. Zjawisko to, nazwane „czarną zgnilizną owocową“, pochodzi z choroby wywołanej drobnemi, nie dającemi się dostrzec gołem okiem grzybkami. Owoce dotknięte tym zarazkiem nabierają ciemnego koloru, a przechowane z nim stają się ciemno-brunatne, łykowate, twarde i niezdatne do użytku. W początkach tej choroby smak jabłek jest gorzki, później zaś, gdy owoc zczernieje, nabiera zapachu stęchłego i gnije wewnątrz zupełnie. Ponieważ owoce dotknięte „czarną zgnilizną“ trzymają się często mocno drzewka, należy zatem zerwać je wraz z gałązkami 3—6 cm. długiemi i spalić starannie, pozostawione bowiem na drzewie przez zimę gałązki te przenoszą grzybki pleśniowe podczas kwitnienia na całe drzewo. Należy zatem zarówno te, które pozostały na drzewie, jakoteż i te, które opadły na ziemię, pozbierać i spalić. Owoce, które mają być przechowane na zimę, powinny być przebrane i oddzielone od tych, na których czarne plamki widzieć się dają. Zmarszczki pojawiające się czasem na owocach są również znamieniem tej choroby. Najlepszym i wyłącznym środkiem niedopuszczenia zarazy jest staranne przebieranie owoców i przechowywanie ich w suchem, przewiewnem miejscu.

Przygotowanie dołów pod drzewka owocowe.

Wiadomą jest rzeczą, że chcąc sadzić młode drzewka, należy najprzód przygotować im dobrze zgnojone doły i przekopać podglebie; nie wszystkim jednak wiadomo, że sadzenie drzew w świeżo przekopane doły nie jest korzystnem. Ziemia świeżo poruszona zsiada się coraz więcej, przez co nie dozwala rozrastać się swobodnie korzeniom i zmusza drzewo do zbytecznego zagłębienia się. Najlepiej zatem wykopać doły na rok lub dwa lata przed sadzeniem i rozpocząć je wtedy dopiero, gdy ziemia dobrze uleży się.

KRONIKA.

Pogoda we wrześniu. Według przepowiedni astrologicznych tegoroczny wrzesień będzie pochmurny i mglisty o niezbyt wysokiej temperaturze. W pierwszej dekadzie przepowiednie owe zapowiadają pogodę pochmurną lub zmienną z większemi rozpogodzeniami i wzrostem temperatury w połowie i w końcu dekady. Większe opady mogą być między 1 a 8 września, miejscami ulewy i burze, w górach śnieg. Druga dekada w pierwszych dniach ma być dość pogodna i ciepła, poczem nastąpi wzrost zachmurzenia. W trzeciej dekadzie zapanuje pogoda przeważnie mglista przy zmiennem zachmurzeniu nieba. Gdzieniegdzie możliwe przymrozki.

Powrót do ojczyzny po 18 latach. W ubiegłym tygodniu przejeżdżał przez Kraków Michał Ceglarz z żoną i czworgiem dzieci, powracając do ojczyzny po długiej tułaczce na Syberji. Ceglarz jeszcze w roku 1914 dostał się do niewoli rosyjskiej pod Kielcami. Moskale wysłali go wraz z innymi jeńcami na Syberję koło Omska, gdzie wreszcie i po skończonej wojnie światowej pozostał, ożeniwszy się z pewną Rosjanką, wdową po wieśniaku tamtejszym. Tęsknota jednak za krajem nie pozwoliła mu na dalszy pobyt na obczyźnie, sprzedał więc wszystko, co miał, a wystarawszy się o paszport, ruszył w strony rodzinne. Bolszewicy, chcąc się choć w ten sposób zemścić na nim, zakupili mu za jego niemal cały majątek bilet pierwszej klasy na kolej. Ceglarz liczy obecnie 37 lat życia, ojciec jego mieszka w Trzeciwinach koło Sącza.

Udaremniony zamach na pociąg. Między stacjami Jaślany - Baranów, na linji kolejowej, prowadzącej z Dębicy do Lublina, usiłowano dokonać zamachu przez położenie w poprzek toru olbrzymiej szyny. Na szczęście przytomny maszynista, Kotlarski, pociąg w porę zatrzymał, wskutek czego uniknięto potwornej katastrofy. Policja wszczęła dochodzenia, gdyż istnieje przypuszczenie, że szynę ową położyli bandyci, aby pociąg po wykolejeniu się obrabować.

Zemsta bandytów. Jan Kopacz, Franciszek Kagan, Władysław Kagan i Władysław Dziekan mieszkańcy wsi Jamy koło Radomyśla Wielkiego wspólnymi chadzali drogami. Co się dało ukraść, ukradli, co zrabować, zrabowali. Jana Kopacza jednak ruszyło sumienie, porzucił on niecną spółkę, a nietylko to, ale informował policję o kryjówkach swoich dawnych towarzyszy. Rozgniewało ich to niepomiernie, postanowili się zemścić. I zemścili się w okrutny sposób. Najpierw poranili ciężko strzałami swojego byłego kolegę, a potem go w bestjalski sposób dobili kolbami. Wszystkich trzech sprawców strasznego czynu aresztowano.

Fałszywy stróż moralności. We Lwowie przybywał do niektórych mężatek o niezupełnie czystem sumieniu urzędnik policji i zawiadamiał je, iż doniesiono policji, że one utrzymują poza plecyma mężów niedozwolone stosunki z innymi mężczyznami. Urzędnik ów wyrażał zamiar aresztowania takiej pani, ale otrzymawszy odpowiedni okup, pozostawiał ją w spokoju. Ile razy sztuczka taka się udała, nie zdradzi oczywiście tego ani ów urzędnik, ani owe poszkodowane panie. Wreszcie noga mu się powinęła. Oto zjawił się w mieszkaniu pani Z. i oświadczył jej, że do policji wpłynęło doniesienie radcy magistratu Orłowicza, zamieszkałego przy ul. Piekarskiej 1, iż jego żona spotyka się z kochankiem w mieszkaniu p. Z. Mimo iż pani Z. zaklinała na wszystko, iż pani Orłowiczowa u niej nie bywa, ani ona takiej nie zna, pan ów przeprowadził w mieszkaniu rewizję, a wreszcie oświadczył, iż ją musi aresztować. Pani Z. i jej siostra zaczęły go błagać, aby im dał spokój, na co ten się wreszcie zgodził pod warunkiem, że dostanie 50 złotych. Po długich targach wziął 30 złotych i opuścił mieszkanie pani Z. Panią Z. bolała nie tyle utrata pieniędzy, co niesłuszne posądzenie, postanowiła więc rzecz wyjaśnić. Udała się na ulicę Piekarską do radcy Orłowicza, ale przekonała się, że żaden radca Orłowicz tam nie mieszka, a pod numerem 1 znajduje się tylko Hotel Krakowski. Poznała więc, że padła ofiarą oszusta. Zawiadomiła o wszystkiem policję, a ta wyszukała owego stróża moralności. Był nim niejaki Stanisław Śliwiński, szofer z zawodu, który znalazłszy legitymację wywiadowcy policji Kazimierza Łozińskiego, odlepił fotografję jej właściciela, a przylepił swoją i grasował po Lwowie, wyzyskując kobiety, które miały jakie grzeszki na sumieniu. Śliwiński dostał się do więzienia, gdzie przez półtora roku będzie wspominał swą umoralniającą działalność.

Z obawy przed mężem. Jan Skoczylas z Borysławia wyjechał przed 15 laty do Rumunji, zostawiając 21-letnią żonę, Katarzynę, w Borysławiu. Młoda małżonka tęskniła za mężem dotąd, póki nie znalazł się pocieszyciel w osobie Stanisława Wybrańca. Pocieszała się Kasia z nim dotąd, póki nie dowiedziała się, że mąż jej powraca. Wiadomością tą tak się przejęła, iż postanowiła skończyć z tem życiem. Ale się jej to nie udało. Wypiła wprawdzie ćwierć litra kwasu solnego, ale zjawił się lekarz, kwas wypompował, a biedna Kasia będzie musiała teraz błagać małżonka, aby jej wszelkie przewinienia darował. I pewno daruje, bo przecie sam najwięcej zawinił, bo poco zostawiał młodą kobietę w kraju, udając się zagranicę.

Chleb ze strychniną. Od dwóch lat między Wojciechem Ciosem a jego żoną Agatą i jego pasierbicą Marją w kolonji Kipiaczka koło Horodenki panowała niezgoda. Często przychodziło do kłótni i bijatyk. Onegdaj Cios pobił swą żonę i wyszedł z domu do okolicznych lasów do pracy. Gdy wrócił wieczorem do domu, pasierbica podała mu na kolację dwie kromki chleba posmarowane masłem i garnuszek kawy. Cios, ukąsiwszy chleb, poczuł w ustach silną gorycz. Ukąsiwszy na próbę drugą kromkę, stwierdził tosamo. W przekonaniu, że chcą go otruć, jedną kromkę dał do zjedzenia psu, a drugą przechował. Pies po zjedzeniu chleba zdechł, a pasierbica zakopała go, aby ojczym o tem nie wiedział. Cios zawiadomił o sprawie policję, która na podstawie zebranych poszlak aresztowała pasierbicę, która na swą obronę podała, że usiłowała otruć ojczyma za to, że od dwóch lat prześladował ją swą miłością. Czuła do niego z tego powodu nienawiść i postanowiła sprzątnąć go ze świata. Policja odstawiła dziewczynę do więzienia.

Samobójstwo podczas egzekucji. W majątku Wroników w powiecie piotrkowskim zjawił się egzekutor celem zasekwestrowania odpowiednich rzeczy za zaległe należytości. Właściciel majątku, Feliks Wunsche, tak się tem przejął, że w oczach egzekutora palnął sobie z rewolweru w skroń. Egzekutor, zamiast sekwestrować rzeczy, zabrał ciężko rannego do samochodu i powiózł go do szpitala. Ranny jednak w drodze zmarł.

Pies samobójcą. Czasem i psu życie się sprzykrzy, ale rzadko się zdarza, aby sobie odbierał życie, jak to czynią nierozumni ludzie. A jednak świeżo zaszedł wypadek samobójstwa psa w Częstochowie. Oto żył sobie tam w domu przy Alei pod liczbą 41 pies, któremu jednak widocznie źle się powodziło, gdyż był bardzo zbiedzony. Wobec tego postanowił odebrać sobie życie. W tym celu rzucił się pod pędzące auto. Szofer jednak w porę zatrzymał samochód, a pies wyszedł nieuszkodzony. Pies nie zmienił atoli zamiaru, gdyż przeczekał chwilę, a gdy nadjechał inny samochód, bły-

skawicznie wbiegł pod jego koła i tym razem poniósł śmierć na miejscu. Takie to już czasy, że nawet mądre psy życie sobie odbierają.

Z rozpaczy po zabójstwie. Po największej części sąsiadki żyją źle ze sobą, a powodów do tego bywa dużo. To kury wymłócą zboże, to krowa wlezie w zboże, to dzieci się poczubią i t. p. A czasem wzajemna niechęć istnieje i bez powodu. Taką zawiścią pałały ku sobie sąsiadki na Dębowej Górze pod Sosnowcem Duszowa i Klochowa. Jak zresztą często, pokłóciły się o jakąś drobnostkę, a to spowodowało interwencję ich mężów, Ludwika Duszy i Stanisława Klocha. Obaj mężowie stanęli w obronie swych żon i w rezultacie pokłócili się. Nareszcie zawzięty Dusza obmyślał straszną zemstę. Pewnego dnia, kiedy Kloch szedł, jak zwykle do rob ty, napadł na niego uzbrojony w długi nóż Dusza w towarzystwie kilku kolegów, uzbrojonych w tęgie kije. Na nieszczęśliwego posypał się grad strasznych ciosów. Kiedy ofiara bestjalskiego napadu upadła na ziemię, Dusza zadał jej nożem kilka strasznych ran. Zbrodniarze zbiegli, pozostawiając na miejscu swą ofiarę. Klocha przewieziono do szpitala, lecz tam wkrótce zmarł. Bezpośrednio po napadzie, kiedy Dusza otrzeźwiał z bestjalskiego szału, ogarnął go lęk przed odpowiedzialnością. Z rozpaczy więc tym samym nożem, którym zadawał razy przeciwnikowi, rozpłatał sobie brzuch tak, że wszystkie wnętrzności wyszły z niego. W stanie beznadziejnym odwieziono go do szpitala.

Przegrał żonę w karty. Niezwykły wypadek zaszedł w Modrzejowie pod Sosnowcem. W miejscowości tej mieszka ze swą żoną agent domokrążny, niejaki Z. oraz znajomy jego, bezrobotny K. kawaler. Nie mając panowie ci nic lepszego do roboty, zabawiali się grą w karty. Pech chciał, że p. Z. wciąż przegrywał, a pan K. wygrywał tak, że przyjaciel ograł wreszcie przyjaciela co do grosza. Pan Z., nie mając gotówki, postawił na kartę swą młodą, bo 26 letnią żonę. Lecz i tym razem karta sprzyjała panu K. Pan Z. okazał się „honorowym", bo natychmiast wręczył wygraną panu K. „Wygrana" chętnie udała się z swym nowym właścicielem, który miał więcej szczęścia w kartach, a więc też zapewne będzie go miał więcej i w życiu. I byłoby wszystko dobrze, gdyż p. Z. był zadowolony, że się pozbył baby, p. K., że w tak łatwy sposób uzyskał przyjemny nabytek, który wrazie czego za kilka dni mógłby z powrotem przegrać, a „wygrana" również nie smuciła się odmianą, bo przecież każda nowość przynosi pewnego rodzaju zadowolenie, gdyby nie policja, która wmieszała się w sprawę i skutki gry sprowadziła na inne tory.

Odnaleziony po 13 latach. W Kazimierzu pod Łodzią zginęło przed 13 laty 3-letnie dziecko, Jan Maliniak. Wszelkie poszukiwania nie odniosły żadnego skutku, rodzice pogodzili się więc wkońcu ze stratą dziecka. Dopiero po 13 latach dziwnym zbiegiem okoliczności dziecko odnalazło się, jako szesnastoletni młodzieniec. A mianowicie w Grudziądzu policja aresztowała bandę cyganów, podejrzanych o dokonanie szeregu kradzieży. Wśród aresztowanych cyganów znalazł się 16 letni chłopiec imieniem Władysław, nie posiadający żadnego nazwiska. Badany, oświadczył, iż przypomina sobie, że kiedyś nazywano go Jankiem i że mieszkał we wsi w pobliżu wielkiego miasta. Poza tem nic więcej nie wiedział. Policja rozesłała natychmiast uwiadomienia i podobiznę chłopaka po wszystkich posterunkach w pobliżu wielkich miast. Fotografja taka dotarła również do rąk matki zaginionego chłopca w Kazimierzu, która poznała w niej podobiznę zaginionego syna. Maliniak w tych dniach powrócił do wsi rodzinnej po 13-letniej cygańskiej tułaczce.

Triumf polskiego lotnictwa. W drugiej połowie sierpnia b. r. odbył się lot dookoła Europy, w którym wzięli udział lotnicy rozmaitych narodowości. Z początku zdawało się, że w locie tym zwycięży lotnik włoski, ale lotnicy włoscy wycofali się z lotu w połowie drogi. Wówczas rozpoczęła się zażarta walka pomiędzy lotnikami niemieckimi, a lotnikiem polskim porucznikiem Żwirką. Do ostatniej niemal chwili nie wiadomo było, czy zwycięży Niemiec Poss, czy Polak Żwirko. Ostatecznie odniósł zwycięstwo nasz rodak, zyskując w locie tym największą ilość punktów, a dopiero na drugiem miejscu znalazł się Niemiec Poss. I inni lotnicy polscy uzyskali też zaszczytne miejsca, a mianowicie: Karpiński 10, Bajan 11, Gedgowd 18. Ogółem ukończyło lot 24 lotników. W ogólnej klasyfikacji, jak zaznaczyliśmy, Polacy uzyskali następujące miejsca: 1, 10, 11 i 18 Niemcy: 2, 3, 4, 6, 7, 8, 9, 13, 14, 15, 16, 17. Szwajcarzy 5. Czesi: 12, 19 i 21. Francuzi: 20, 22, 23 i 24. Inni lotnicy w czasie lotu z zawodów się wycofali, a między nimi jeden Polak, kapitan Orliński.

Wypadek samolotowy kapitana Orlińskiego. Kapitan Orliński, który wycofał się z lotu okrężnego dookoła Europy, chciał w Warszawie wypróbować samolot i w tym celu wzbił się w powietrze. Będąc ponad miastem, zauważył, że urwała się w samolocie blacha, zakrywająca motor. Wobec tego Orliński zamierzał wylądować. Okazało się jednak, że jest to niemożliwe. Zachodziło niebezpieczeństwo, że lada chwila samolot runie na ulice Warszawy. Kapitan Orliński postanowił jednak za wszelką cenę tego uniknąć, wiedząc, że upadek samolotu na miasto mógłby spowodować straszne nieszczęście. Choć groziło to w każdej chwili jego życiu, manipulował tak, że wyprowadził samolot poza miasto, a widząc, że bezwarunkowo nie da się go uratować, sam spuścił się na ziemię na spadochronie, a samolot bez kierownika poszybował dalej. Kapitan Orliński spadł na twardą ziemię i zwichnął nogę, zaś samolot po przebyciu jeszcze pewnej odległości runął pod Jeziorną na ziemię. Szczęściem w nieszczęściu dla kapitana Orlińskiego było, że upadł na ziemię twardą, gdyż zaledwie o kilka kroków od miejsca jego upadku jest duże jezioro; gdyby był wpadł do wody, byłby się utopił.

Mąż dwóch sióstr. Pan Stefan Gołąbnik z Warszawy miał serce nielada, toteż kochał nad życie równocześnie dwie siostry: Julję i Stanisławę, a jak były tego dowody, kochał obydwie jednakowo, gdyż z każdą wykochał sobie czworo dziatek. Nie wiadomo jednak, czy żon mu było zamało, czy dzieci zamało, dość że gdy poznał żonę urzędnika pewnej fabryki, słynną z cudownej urody, zapałał również ku niej ognistą miłością. A miłość jego była tak wielka, że objęła także i jej siostrę niepospolitej urody. Pan Gołąbnik kręcił i kręcił, aż się wkręcił w dom państwa C. pod pozorem sprzedaży futra dla pięknej pani C., przyczem starał się usilnie o jej względy i jej siostry. Ktoś usłużny zawiadomił zaniedbywane chwilowo nieszczęśliwe matki ośmiorga dzieci pana Gołąbnika. Te, zebrawszy drobiazg częściowo na ręce, a częściowo go prowadząc, przybyły w progi państwa C. i zaczęły wołać rozdzierającym głosem: „Oddaj nam męża!" Pan C., będąc przekonany o niewinności swej żony, jak i jej siostry, zaskarżył obydwie panienki do sądu o zniesławienie. Sąd skazał je po 100 złotych każdą, biorąc pod uwagę okoliczności łagodzące, że jakkolwiek pani C. i jej siostra były niewinne, to przecież oskarżone miały podstawy przypuszczać co innego, gdyż na własnej skórze czuły skutki zaniedbywania ich przez Gołąbnika.

Bestjalstwo bandytów. Do mieszkania Katarzyny Mazan w Strychowicach Górnych w powiecie koneckim wtargnęli w nocy zamaskowani dwaj bandyci, którzy, grożąc śmiercią, żądali pieniędzy. Mazanowa tłomaczyła się, że nie ma pieniędzy. Wówczas bandyci w bestjalski sposób poczęli znęcać się nad bezbronną kobietą, kłójąc ją szpilkami dotąd, aż wyczerpana męczarnią kobieta wskazała im ukrytą gotówkę w kwocie 18 złotych 60 groszy. Jednego z bandytów nazwiskiem Józef Kustro policja już ujęła, a jest na tropie drugiego.

Uwięziony rakarz w własnej budzie. Jeden z rakarzy słonimskich wyjechał do wsi okolicznych i począł łapać psy, wsadzając je do budy, którą przywiózł ze sobą. Oburzyło to chłopów, gdyż rakarz nie miał prawa łapać ich psów. Protestowali więc przeciw bezprawiu, a gdy to nie pomogło, chwycili rakarza, obezwładnili go, wsadzili przemocą do budy, z której poprzednio wypuścili wszystkie psy, a następnie zamknęli budę na kłódkę, podcięli konia i skierowali go na drogę, wiodącą do Słonima. Roztropne zwierzę zawiozło swego pana na jego podwórko i tu dopiero żona uwolniła go z opresji. Zapewne drugi raz nie pojedzie już łapać psy na wieś

Wszystkiemu winien djabeł. W Nowym Dworze na Żuławach jest restauracja, której jednak jakoś goście nie chcieli odwiedzać. Restauratorka pożaliła się na to przed niejakim R. Szleperem, a ten zapewnił ją najkategoryczniej, że winien temu djabeł, którego trzeba koniecznie wypędzić. Czynności tej podjął się z grzeczności sam Szleper. A więc najpierw polecił kobiecinie, aby zakopała w ogrodzie sznur z 7 węzłami. Uczyniła to. Po kilku dniach, gdy odkopała sznur, okazało się, iż węzły znikły. Był to, zdaniem Szlepera, dowód, że wypędzanie djabła okazuje się skuteczne, Teraz poradził Szleper restauratorce, aby ta wysłała Ojcu św. 100 guldenów gdańskich, by ten modlił się o pomoc w wypędzeniu djabła. Ponieważ restauratorka miała jawny dowód działania Szlepera przeciw djabłowi, więc z ochotą wyliczyła i owe 100 guldenów, prosząc go, aby on te pieniądze wysłał do Watykanu. Szleper, acz niechętnie, podjął się tej czynności. Poszedł wysłać pieniądze i więcej nie wrócił, a gości nie było w restauracji i niema.

Kobieta mężczyzną. Przed sądem karnym w Moguncji zakończył się obecnie proces o fałszowanie dokumentów i inne oszustwa przeciw rozwiedzionej żonie pewnego złotnika z Badenji, niejakiej Einsmanowej, która od 12 lat podawała się za mężczyznę i męża swej przyjaciółki Millerowej. Uchodziła ona również za ojca dwojga nieślubnych dzieci Millerowej. W sądzie stwierdzono, że Einsmanowa, rozszedłszy się z mężem, przybyła w roku 1919 do Moguncji, a wdziawszy ubranie męskie, uzyskała na zasadzie karty inwalidzkiej swego męża posadę. Od tego czasu prowadziła wspólne gospodarstwo z Millerową, a sąsiedzi uważali je za bardzo przykładne małżeństwo. W czasie rozprawy sądowej tłomaczyła się tem, że jako kobieta nie mogła wogóle uzyskać żadnej posady, a przecież musiała zdobyć środki do życia. Sąd skazał ją na jeden miesiąc aresztu.

Wieś stuletnich. W tych dniach obchodziło we wsi Sellio w Alpach włoskich pięciu mieszkańców stuletnią rocznicę swych urodzin. Pięciu stuletnich w jednej małej i biednej wioszczynie to bardzo dużo. Ale to jeszcze nic. W wiosce tej żyje ponadto trzydzieści 90-letnich osób, które trzymają się dobrze tak cieleśnie jak i umysłowo. Wieś, jak zaznaczyliśmy, jest uboga, a jej mieszkańcy są umiarkowani w jedzeniu. Napoje, jak wódka, piwo i inne, znają tylko z opowiadania. Tytoniu nie używają również zupełnie. Śpią mało i jedzą niewiele. Może to utrzymuje ich tak długo przy życiu?

Zjadł siostrze ucho. W Grecji szczególniej po wsiach przestrzegają bardzo zasad moralności. Jeżeli więc jakaś dziewczyna prowadzi życie lekkomyślne, nie przestrzegając moralności, wówczas cała rodzina zwraca się przeciw niej, wywierając często krwawy samosąd. O takie niemoralne prowadzenie się posądzano dwie młode siostry w Kalamata. Nie miał ich kto ukarać, gdyż rodzice nie żyli, a brat siedział w kryminale za kradzież z włamaniem. Kiedy jednak wyszedł z więzienia i dowiedział się o życiu swych sióstr, postanowił je ukarać, w tym celu wdarł się w nocy do ich pokoju przez okno, związał je sznurem, a następnie odciął ucho młodszej siostrze, zaledwie 14 letniej, a włożywszy je do ust, począł żuć z wściekłością. Na krzyk napadniętych nadbiegła policja, która oswobodziła dziewczęta, a ich żarłocznego braciszka odstawiła do aresztu.

Niezwykła zdolność psa policyjnego. Nad rzeką Mozellą we Francji znaleziono zwłoki zamordowanego bogatego włościanina francuskiego. Zawiadomiona policja szukała sprawcy morderstwa bezskutecznie, dopiero przy pomocy psa policyjnego za parę dni na jarmarku, pies poznawszy mordercę, rzucił się na niego.



Przeprowadzone dochodzenia wykazały, że mądre zwierzę nie pomyliło się. Zbrodni dokonał dla rabunku włościanin tej samej wsi.

Bogactwo nie daje szczęścia. W Paryżu odebrała sobie życie wystrzałem z rewolweru Marja Tardy, młoda jeszcze, bo dopiero 40 lat życia licząca kobieta, piękna, bogata i napozór szczęśliwa. Samobójczyni miała wszystko, co może dać ten świat, a więc urodę, majątek, wzięcie u ludzi, a jednak nie była szczęśliwa. Pozornie zdawało się, że życie jej płynie bez trosk, że bawi się wesoło i używa wszystkiego w pełni szczęścia. A jednak tak nie było, bo kiedy odebrała sobie życie, stwierdzono w liście pozostawionym przez nią, iż czyni to dlatego, że czuje się bardzo nieszczęśliwa, albowiem nic nie może zapełnić jej beztroskiego życia. Widocznie prawdziwie szczęśliwym może być tylko człowiek pracy.

Wybryk arystokratki. Bogata, urodziwa i wykształcona 19-letnia Angielka sprzykrzyła sobie próżniacze życie i postanowiła pójść na służbę. Panna Patrycja Russel, tak się nazywała owa dziewica, udała się do pewnej rodziny w Norfolk, poszukującej służącej i tam się zgodziła do służby. W służbie przebyła pół roku, a państwo jej, nie domyślając się nawet co za arystokratkę mają w swym domu, byli z niej zupełnie zadowoleni. I ona podobno bardzo była zadowolona, ale w rezultacie opuściła obecnie swoją służbę, wróciła do swego pałacu i rozpoczęła drukować pamiętniki z czasów tej służby.

Wszystkie zaległe numera „Roli“ od Nowego Roku posiadamy w zapasie.

RZECZY CIEKAWE.

Różnokolorowe włosy.

Na wystawie w Olipji w Londynie, w dziale fryzjerskim demonstrują barwienie włosów przy dowolnej zmianie koloru dnia następnego. Wynalazca twierdzi, że jego preparat chemiczny nie niszczy cebulki włosowej ani samego włosa, któremu daje zabarwienie dowolne z trwałością, obliczoną nawet na kilka miesięcy.

Kapryśna dama może jednak zmieniać codziennie kolor włosów, nadając im, stosownie do okoliczności, kaprysu, koloru sukni lub szlafroka barwę złotą, zieloną, srebrną, fiołkową, czerwoną lub czarną.

Jak i kiedy powstały monety.

Przed tysiącami lat pieniądz — moneta nieznany był ludzkości. Handel odbywał się na drodze wymiany produktu za produkt, towaru za towar. Stopniowo tylko poczęto ułatwiać sobie wymianę towarów produktów wzamian za pewną ilość metalu. — Pierwsze pieniądze, które się pojawiły w użyciu i obiegu dalekie jeszcze były pod względem swej formy od tego, co nazywamy monetą. Były to kawałki metalu, oceniane w swej wartości według ich wagi.

Dokładna data wejścia w użycie monet nie jest znana, ale rozpowszechniony pogląd przypisuje użycie monet Grekom, którzy bili je na 700 lat przed Chrystusem.

Po Grekach przejęli sztukę bicia monet Rzymianie. W czasie wielkiej wędrówki ludów wybijano również monety, ale bardziej prymitywne niż rzymskie. W XII w. bito monety w Niemczech, przeważnie srebrne. Monety te były jednostronnie tylko wybijane, t. j. druga strona była gładka, bez cyfr, napisów i płaskorzeźb.

W połowie XIV wieku bito już prawie wszędzie monety złote i srebrne obustronne. Pojawiły się guldeny złote, cekiny, grosze czeskie. W ciągu następnych stuleci technika mennictwa rozwinęła się i udoskonaliła znacznie, a obieg monet złotych i srebrnych rozszerzył się we wszystkich krajach europejskich.

Zegar wodny.

W Amidec, w stanie Nevada, znajduje się ciekawy zegar, poruszany zapomocą źródła wody gorącej. Źródło, zaliczone do gejzerów, wyrzuca co 33 minut słup wrzątku, dochodzący do znacznej wysokości. — Jeszcze się nie zdarzyło, żeby zjawisko spóźniło się lub przyspieszyło choćby o pół sekundy. Amerykanin, Amos Lane, postanowił, kilka lat temu, skorzystać z tej ścisłości matematycznej i zbudował zegar o mechaniźmie bardzo prostym, poruszanym co 38 minut przez wybuchający geizer. Tarcza, z nadejściem zmroku oświetlana elektrycznością, ma dwa metry średnicy.

Wielkie głupstwo.

Fryderyk Wielki wyszedł pewnego razu pośpiesznie ze swego pałacu w Sanssouci. Był w złym humorze, ponieważ czuł, że się prawdopodobnie spóźni na „punktualnie" przez niego samego naznaczoną audjencję. Wtem zachodzi mu drogę jego stary ogrodnik.

— Jego Królewska Mość! Momencik...

— Czego chcecie? Przecież widzicie, że się bardzo śpieszę!

— Jego Królewska Mość, pozwoliłem sobie obok oranżerji założyć nowe inspekta.

— No i co, no i co?

— Ale nie wiemy, Jego Króleska Mość, co zrobić z wielką ilością wykopanej ziemi.

— No, to jesteście skończonym głupcem! — odpowiedział Fryderyk.

— Poprostu należy obok wykopać tak wielki dół, żeby się wszystka ziemia do niego zmieściła.

I ruszył dalej, zostawiając stropionego ogrodnika.

Kto żyje najdłużej?

Z angielskich danych statystycznych wynika, że jeżeli weźmiemy ludzi różnych zawodów pomiędzy 25-tym a 65-tym rokiem życia i oznaczymy liczbą sto średnią wśród nich śmiertelność, to ogrodników umiera 56, rolników 57, robotników rolnych 63, kramarzów 66, budowniczych okrętowych 72, cieśli 77, księgarzy 86, piekarzy 91, stolarzy 98, sprzedawców wyrobów tytoniowych 100, rzeźników 109, browarników 143.

Innemi słowy, jeżeli weźmiemy 10.000 ogrodników, 10.000 wieśniaków i 10.000 rzeźników, to w pełni sił życiowych umiera dwa razy tyle rzeźników, niż ogrodników.

Radjo wśród obłąkanych.

Gdyby nie widniejący na frontonie miłego i pogodnego gmachu napis „Zakład Kulparkowski", nie przyszłoby nam do głowy, że tu, w cieniu wspaniałych drzew starego parku, wśród domów i domków, tonących w zieleni i w kwiatach, pulsuje życie tak biegunowo różne od naszego — życie świata anormalnego. Człowiek zrów na ciele i na umyśle przestępuje progi domu obłąkanych z pewną dozą obawy. A przecież ,gdy znalazłem się w obszernym i widnym hallu Zakładu kulparkowskiego, gdy na spotkanie moje wyszedł uśmiechnięty ks. kapelan szpitala i niestrudzony opiekun chorych ksiądz Michał Rękas — pierzchły ponure myśli i śmiało udałem się na wędrówkę po salach szpitalnych.

Była właśnie pora obiadowa, gdy znaleźliśmy się w czyściutkim, obitym kilimami i zdobnym w obrazy pawilonie kobiecym. Chore siedziały przy długim stole, hałasując, jak przekupki na targu. Wejście nasze powiększyło ten hałas. Do umiłowanego kapłana zewsząd poczęły cisnąć się kobiety i uderzyły w prośby:

— Księże kapelanie, a na Targi Lwowskie pojedziemy?

— Proszę księdza, kiedy mnie stąd wypuszczą?

— Niech ksiądz pożyczy parę groszy na papierosy!

— Prosimy z nami do stołu, księże kanoniku...

To ostatnie, zresztą bardzo rozsądne w tych okolicznościach zdanie, wypowiedziała wysoka, szczupła, niemłoda już kobieta w czarnej chusteczce na głowie — poczem wdała się ze mną w rozmowę, rozpytując się o to i owo, o Warszawę, o teatry, a przedewszystkiem o radjo, które dla tych istot, oderwanych od świata, jest jedynym z nim łącznikiem. Byłem przekonany, że to jakaś pielęgniarka, gdy nagle:

— A wie pan — szepnęła tajemniczo — że mój syn za tydzień wstąpi już na tron polski!!!

— Syn pani? — spytałem niepewnie, nie wiedząc, jak należy postąpić w takim wypadku.

— A tak, tak — mój syn, wie pan, arcyksiążę. Ja przecież jestem cesarzowa Zyta...

Nie wiem, jaki obrót przybrałaby rozpoczęta w ten sposób rozmowa, gdyż na szczęście ksiądz Rę-

kas wstał ze swego miejsca. Pożegnaliśmy chore i udaliśmy się w dalszą wędrówkę.

W infirmerji — długi rząd nieruchomo leżących postaci. Większość ma słuchawki radjowe na uszach. Twarze rozjaśnione błogim uśmiechem, z pod przymrużonych powiek błyskają iskierki świadomości.

Ksiądz podszedł do łóżka młodej, może szesnastoletniej panienki o niezmiernie miłej, choć niemal przeźroczystej twarzy. Nie zdejmując słuchawek wyciągnęła wychudłą dłoń na przywitanie.

— Księże proboszczu... księże proboszczu... Tak cudnie grają... Czy ja też jeszcze kiedy w życiu będę tańczyła?...

Suchy, urywany kaszel targnął ciałem młodej dziewczyny. Opadła na poduszki, nie puszczając ręki kapłana. Spojrzał na mnie i smutnie, znacząco, a później wyjaśnił: „Choroba umysłowa i... otwarta gruźlica. A nie ma jeszcze szesnastu lat!..."

Podczas mej wędrówki po Zakładzie kulparkowskim poznałem wiele miejscowych „znakomitości": starego żyda, który po powrocie z Angiji ubzdurał sobie, że jest królem angielskim — b. oficera, donośnym głosem wydającego rozkazy — poczciwą staruszkę, przeżywającą w chorej wyobraźni czuły romans z przystojnym studentem — kobietę, która w ekstazie opowiada, jak to do nieba wędrowała („...widzieli panowie, tę figurkę świętą, co to do niebios szła? — a to przecie byłam ja!") i chorego poetę, który nie wypuszczając pary z ust grywał całemi godzinami z pielęgniarzem i wygrywał partję po partji.

Tyle różnych indywidualności, tyle dążeń, tyle zboczeń i tyle upodobań. Jedna tylko cecha jest tutaj wspólna dla wszystkich: wszyscy przepadają za radjem. O zbawiennym wpływie radja opowiadają tutaj cuda, dlatego też dzięki akcji księdza Rękasa szpital posiada własną centralę radjową, obsługującą kilka głośników i zgórą sto słuchawek. Chorzy słuchają najchętniej muzyki i nabożeństw. „Fala radjowa — to pokój, dobro dla naszych chorych" — zakończył ksiądz Rękas.

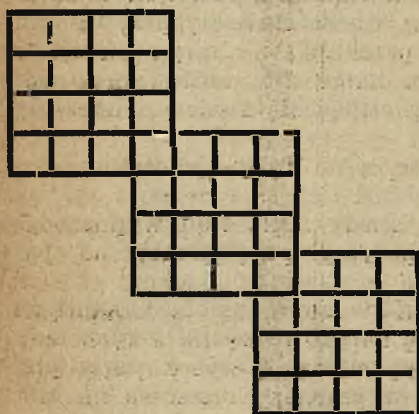
ODPOWIEDZI REDAKCJI.

Pp:. **Jan Stec w L.:** I myśmy zauważyli po czasie, że rzecz ta była kradziona. Pan ów przepisał cudzy utwór, podpisał swoje nazwisko i myślał, że stał się literatem. A tymczasem stał się najzwyklejszym złodziejem. — **Antoni Poloczek w P.:** Kroniki nie daliśmy, gdyż mógłby mieć Pan z tego powodu nieprzyjemności. A nie było to zresztą nic tak bardzo ważnego. — **Piotr Wenc w S.:** Z nadesłanych utworów skorzystamy. 20 lei i 1 k. cz. wycofane z obiegu. Nic nie wartają i te obligacje markowe. O serbski los tytoniowy zapytamy przy sposobności w banku, a wówczas objaśnimy, ile płacą. — **E. P. w M.:** Tak „Szachy", jak i obecnie nadesłany artykuł pójdą, gdy tylko będzie nieco więcej miejsca. Gdyby utwory były nieco krótsze, prędzejby się miejsce znalazło. — **Jan Pelczar w W. Sz.:** Nadesłany artykuł zamieścimy. — **Stanisław Jucha w K.:** Artykuł zagmatwany, niektóre zdania wprost niezrozumiałe, np „Obawiając się więcej upiorów, niż rozbójników, nietylko bez racji, ale wbrew wszelkiemu rozsądkowi". Jest to zdanie poboczne, a gdzie główne? Nie zamieścimy. — **Karolina Kowalska w J.:** Tak Kmicic, jak i Oleńka Billewiczówna w „Potopie" Henryka Sienkiewicza, to postacie zmyślone. Nie przeszkadza to jednak, iż w dawniejszych czasach było wielu takich kochanych zawadjaków, jak Kmicic, a jeszcze więcej takich anielskich dziewcząt, jak Oleńka. Dziś ich coraz mniej, ale przecież jeszcze nie zniknęli zupełnie. — **Jan Stokłosa** w M.: Brednie, Kochany Panie, brednie. Ktokolwiek stałby na czele rządu, nie zmieniłby nic na lepsze, bo kryzys dopiero wtedy minie w Polsce, gdy minie i w innych krajach na świecie. — **Wincenty Kuglin w K.:** Nadesłane wierszyki zamieścimy.

Zagadki do nagrody.

1. Kwadrat magiczny.

(Ułożył Florjan Ciebiera z Rz.).



Znaczenie wyrazów (poziomo): 1) Napad. 2) Opakowanie 3) Imię żydowskie. 4) Ptak. 5) Hymn narodowy. 6) Gaz 7) Broń. 8) Nagana. 9) Zdrobniałe imię żeńskie. 10 Imię biblijne.

2 Wierszyk do odczytania.

(Ułożył Florjan Ciebiera z Rz.).

Podany poniżej wierszyk, nic do niego nie dodając i nic nie ujmując, odczytać w ten sposób, by w poszczególnych rządkach był rym i rytm,

Pod Warszawą Ciechocinek
Muzyka tam gra,
Tańczą panny Frania, Jania
Tań zy z niemi?
W ręku mają bukieciki
W głowie same.....
Każda zgrabna cienka w pasie
(Mówi się o tem)
Takie myśli mają w głowie
„Złapać męża"
Księcia pana nawet chłopka
Żeby tylko był wnet.

3. Szarady.

(Ułożył Piotr Wenc z Ś.).

I.

Pierwszą bez drugiej Maciek swój chwali,
Po łbie go Kaśka za niego wali
Wstecz druga, że w „Reli" ma zajęcie stałe,
Pół pierwszej zdrowych przez zapusty całe
Cieszy. Związki, towarzystwa całością się [szczycą
W rocznice, święta, obchody, w blasku [słońca świecą

II.

Drugie i trzecie dawne ludy jako brońznały
Wilki dawniej w borach pierwsze i trzecie [często wyprawiały,
Pół trzeciej znowu tyle co potrzeba znaczy,
Pierwszą mówimy do starszych inaczej
Całość — huki, grzmoty, słychać je zdaleka
Jedne witają, drugie żegnają, inne witają [człowieka

4. Zagadka humorystyczna.

(Ułożył Jan Liwosz z S.).

Jak się nazywa ojciec raka?

5. Bilet wizytowy.

(Ułożył Józef Górecki z K.).

Karol Edward Cezy a Irawiny

Z liter ułożyć zawód tej os by.

Za dobre rozwiązanie powyższych zagadek przeznaczamy dwie książki.

Termin nadsyłania rozwiązań upływa dnia 16 bm.

Znaczenie zagadek z Nru 34 „Roli": 1. Logogryf: A. St. Bassara, 2. Szadara: Armata, 3. Zagadki: I. Potop, II. Baran, III. Podkowa, 4. Krzyż magiczny: Admirał, pliszka, murzyni.

W oznaczonym czasie dobre rozwiązanie nadesłali pp:. Antoni Poloczek z P., Teofil Burman z K., Janina Sokołowska z U., Krystyna Poturalska z P., Ks. Michał Ozga z H., Jan Stec z J., Karolina Michalska z U., Kazimierz Lorez z B., Barbara Dychdalska z P., Jan Koza z Ł.

Nagrody otrzymają pp.: Jan Koza z Ł. i Krystyna Poturalska z P.

Wydawca: Feliks Kowalczyk. Odpowiedzialny redaktor: Antoni St. Bassara.
W drukarni „Czasu" w Krakowie pod zarządem Leopolda Wójcika.

Giełda płodów rolniczych

z dnia 6 września b. r.

Pszenica	25·00—26·00	Słoma długa	6·50—7·00
Żyto .	17·00—17·50	Ziemniaki stoł.	0·00—0·00
Owies . .	14·50—15·00	Koniczyna na-	
Jęczmień .	16·50—17·00	sienn. czer.	000·00—000·00
Fasola biała	23·00—25·00	Mąka żytnia	30·00—30·50
Groch zwyk.	26·00—29·00	Mąka pszen.	48·50—49·50
Siano słodk.	8·00—8·50	Otręby pszen.	10·00—10·50
Łubin żółty	00·00—00·00	Otręby żytnie	9·50—10·00
Koniczpastew.	9·00—9·50	Mąka czerw.	15·00—16·00

Ceny rozumieją się za towar średniej handl. jakości za 100 kg.

Wygrane dolarówki. Dnia 1 b. m. odbyło się ciągnienie dolarówki. Padły następujące wygrane: 40.000 dolarów na 175.311, 8.000 dolarów na 521.114, 3.000 dolarów na 1,323.134, 1,265.977, 958.309, po 1.000 dolarów wygrały: 154.888, 285.873, 952.409, 58.925, 341.389, po 500 dolarów: 509.784, 671.291, 8.625, 1,449.426, 186.256, 344.727, 942.706, 465.249, 1,002.891, 231.488. Po 100 dolarów: Nr. 856605, 1206321, 414966, 324041, 618360, 884740, 1089832, 1091067, 364695, 1186845, 1451243, 398320, 1450038, 685218, 803697, 1271353, 108660, 1069343, 648867, 657281, 983629, 74434, 1232325, 1480997, 182048, 1106326, 903387, 607884, 264591, 10297, 1222308, 216515, 735487, 1111319, 318470, 160376, 562350, 538516, 587771, 1195172, 1037080, 678660, 835657, 51330, 204139, 437212, 1322461, 1225977, 37105, 1148467, 42105, 1481740, 51610, 529740, 556699, 371761, 830675, 1222533, 15544, 158844, 1026928, 873462, 356160, 550318, 635541, 1297550, 1007612, 108992, 337096, 1110867, 602789, 821214, 1445077, 1051041, 1284779, 1484428, 768968, 310903, 1430650.



Instrumenta MUZYCZNE

dęte i smyczkowe oraz części zapasowe do tychże. — Stare instrumenta naprawia, zestraja lub wymienia na nowe

J. A. NIKIEL

Kraków, Szewska 2.

WIOLONCZELA stara oryg. Klotz okazyjnie do sprzedania.

„Detefonem"

odbiornikiem detektorowym na krótkie i długie fale można wszędzie słyszeć stacje polskie oraz szereg zagranicznych. Cena **„detefonu"** ze słuchawkami i z anteną etc. 39 zł. »Detefon« nabyć można w każdym **urzędzie pocztowym** oraz w rozgłośni krakowskiej przy ul. Basztowej 9.

Pryw. gimnazjum żeńskie

PP. Benedyktynek w Staniątkach (poczta w miejscu) ze specjalnym typem eksperymentalnym, gimnazjum przyrodniczo-ziemiańskie. Gimnazjum istnieje już od roku 1924 i posiada b. prawa szkół państwowych, nadane rozporządzeniami Min. W. R. i O. P. z r. 1925 i 1931. — Bliższe informacje na miejscu albo pisemnie.

Do nabycia w Administracji „Roli":

„FLIRT POLSKI"

nowe karty do gry towarzyskiej z numerami są najpiękniejszą i najwdzięczniejszą zabawą towarzyską, 40 kart z pouczeniem w futerale **Zł. 1.15.**

LISTOWNIK DLA ZAKOCHANYCH

czyli podręcznik do pisania **listów miłosnych,** oświadczynowych, w sprawach małżeńskich oraz pięknych wierszyków na pocztówki. **Zł. 1.25.**

ŚPIEWNIK MIŁOSNY

zawiera: Pieśni i Piosenki miłosne, Weselne, Krakowiaki, Arje oper, Śpiewy i śpiewki ludowe, o miłości i kochaniu itp. w objętości 128 str. **Zł. 1.25.**

ZBIÓR POWINSZOWAŃ

na imieniny, zaślubiny, Boże Narodzenie, Nowy Rok oraz zbiór **Poezyj do Pamiętnika,** zastosowany dla dzieci, młodzieży i dorosłych, w objętości 128 stron. **Zł. 1.25.**

Za zaliczką nie wysyłamy. Po zawiadomieniu wysyłamy czek.

Piosenkarz Polski Zbiór najpiękniejszych piosenek: Piosenki ludowe, taneczne, miłosne, żartobliwe Krakowiaki, Mazury, Oberki, Kujawiaki, dumki, serenady, Piosenki młodzieży, piosenki narzeczonych, piosenki swatów, piosenki drużbów, piosenki taneczne na weselu, śpiewki przy oczepinach, piosenki dożynkowe i wiele wiele innych. Stron 120. Do nabycia w Administracji »Roli«. Cena 1.30 zł.

Robię portrety kolorowe olejne

z fotografji wyraźnej, format wedle życzeń, ręczne wykonanie na płótnie. W razie niepodobania, nie zmusza się do wykupna takowego. Cena 35 złp. Wysyłać fotografję oraz 3 złote na koszta przesyłki.
Strzelczuk Czesław, malarz — Bursztyn.

Powieści Franciszka Hornika (E. Wrzosa) 1) **„W czerwcową noc" — str. 535, 2) „Tragedja miasta nad rzeką" — str. 355 można zamawiać i nabyć w Domu Książki Polskiej Warszawa Plac Trzech Krzyży 8.** — Popierajcie swojego autora.

Kożuchy po najniższej cenie do wysprzedaży t. j. **saka damskie i męskie** z rękawami i bez rękawów, **kamizelki kożuszane** farbowane i niefarbowane, różny gatunek **kożuszków.** Robota ręczna solidna. Wysyła się na zamówienie i po jednej sztuce za zaliczką pocztową.

Wielka Wytwórnia Kożuchów Jędrzeja Glińskiego w Starym Sączu.

PIECZĘCIE dla Stowarzyszeń, urzędów gminnych parafjalnych Kółek Rolniczych i t. p.

GWOŹDZIE DO SZTANDARÓW

Odznaki dla Stowarzyszeń wykonuje po najniższych cenach

JÓZEF MARCZYK RYTOWNIK

Kraków, św. Tomasza 24 (Gmach Kasy Oszczędności)
Konto P. K. O. Kraków Nr. 407.942.

WIELKĄ OSZCZĘDNOŚCIĄ

dla każdego gospodarstwa jest wypróbowana Praktyczna Książka Kucharska pod tytułem



366 obiadów

ułożona przez Marję Gruszecką, która zawiera praktyczne i oszczędne przepisy do sporządzania tanim sposobem smacznych potraw, ciast, legumin, tortów, soków, likierów, konfitur i t. p. Ponadto Praktyczna Książka Kucharska zawiera cały szereg praktycznych i oszczędnych wskazówek dla każdego gospodarstwa: Jak się obejść z bielizną przy praniu. Sposób tępienia mrówek i robactw drzewnych. Tępienie moli, myszy i innych robactw dokuczliwych. Również zawiera tasama książka cały szereg praktycznych środków leczniczych i innych niezbędnych dla każdej gospodyni wskazówek gospodarskich. — Cena tej książki w wielobarwnej okładce z przesyłką Zł. 3.50. Na przesyłkę poleconą dołączyć 50 groszy. Do nabycia w Adm. „Roli"